



ANALIZA SPOŁECZNA



Paweł Śpiewak

POLSKIE SPOŁECZEŃSTWO W OPINII
SOCJOLOGÓW



PAWEŁ ŚPIEWAK

Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, kierownik Zakładu Historii Myśli Społecznej w Instytucie Socjologii UW, wykładowca Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów im. J. Giedroycia; członek zespołu redakcyjnego „Przeglądu Politycznego”; stały współpracownik tygodnika „Wprost” oraz dziennika „Życie Warszawy”. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Ostatnio opublikował między innymi: *Księga nad księgami. Midrasze, Obietnice demokracji; Anti-Totalitarismus. Eine polnische Debatte*, antologia *Myśl komunitariańska; Pamięć po komunizmie*.



WPROWADZENIE

Przemiany społeczne zapoczątkowane w drugiej połowie lat osiemdziesiątych doprowadziły do wzmocnienia w Polsce orientacji indywidualistycznej. Coraz więcej osób docenia takie wartości jak wiedza, przedsiębiorczość, myślenie perspektywiczne, choć zarazem mniej więcej od połowy lat dziewięćdziesiątych coraz więcej osób uważa, że o sukcesie życiowym decydują koneksje, omijanie i nadużywanie prawa. Więcej osób niż przed laty też ma poczucie malejącego wpływu na swoje życie. Razem z tym narastają postawy pro-etatystyczne i niechętnie rynkowi i wyrażające daleko posuniętą nieufność wobec demokracji i praworządności. Można też na podstawie badań socjologicznych mówić o tym, że wzrasta poziom nietolerancji, nacjonalizmu i antysemityzmu. Autor twierdzi, że przemiany świadomości zbiorowej są nie tyle wyrazem rozczarowania wobec polskich przemian (choć dominuje negatywna ocena transformacji), ile narastaniu głębokich podziałów w Polsce wskazujących na to, że coraz bardziej różnimy się w ocenie naszej kondycji, przyjmujemy zasadniczo odmienne strategie przystosowania. Różnice te pogłębiają się i można wręcz mówić o istnieniu już dwóch czy więcej odrębnych w Polsce społeczeństw.

Przed wielu laty uczeni i politycy zapowiadali rozpowszechnienie postaw właściwych społeczeństwom zachodnim. Twierdzono, że w miarę modernizacji, stabilizacji demokracji staniemy się zorientowani bardziej liberalnie, umocni się szacunek dla prawa, tolerancja zyska mocne podstawy, będziemy postępować bardziej racjonalnie. Tym samym odejdą w niepamięć postawa rewindykacyjno-roszczeniowa, jawna niechęć do obcych, osłabnie właściwy minionej epoce rozpowszechniony egalitaryzm. Tymczasem coraz więcej danych socjologicznych wskazuje na proces dokładnie odwrotny. Polskie społeczeństwo w większości zamyka się w postawach anachronicznych, antyliberalnych, umacnia się niechęć do zmian w sferze kulturowej i tego, co zwykło się uważać za europejski system wartości. Można mówić wręcz o swoistego rodzaju regresji, cofaniu czy okopywaniu w starych, sprawdzonych przez pokolenia wartościach, które mają niewiele wspólnego z nadziejami na budowę społeczeństwa demokratycznego i otwartego. I moja obserwacja nie wynika z niecierpliwości, o której pisze Marek Ziółkowski, przypominając nam, że wiele zachodzących w Polsce procesów należy analizować w perspektywie lon-

gue duree. Zdaje się, że wchodzimy w stare koleiny i dawne schematy nie dlatego, byśmy zaczęli znów w nie gorliwie wierzyć, ale dlatego, że nie mamy innych, adekwatnych do sytuacji miar, obrazów porządku społecznego. Odrzuciliśmy w znacznej mierze proponowane wzorce zachodnie i w niewolę wzięły nas dawne odruchy i stereotypy.

Liczne badania socjologiczne wskazują na rosnącą wzajemną nieufność i przekonanie, że życie publiczne, instytucje działają w sposób nieprzejrzysty, że kryteria awansu są jawnie niezgodne z zasadami merytokracyjnymi, choć zarazem czynnikom tym (pracowitość i wykształcenie) przypisujemy duże znaczenie. Większość z nas i to od lat – pogląd ten zdaje się tylko umacniać – twierdzi, że o sukcesie życiowym decydują w pierwszym rzędzie koneksje, omijanie czy wykorzystywanie prawa na własny użytek, cwaniactwo, różnego rodzaju oszustwa. Jeśli do tego dodamy, że mało kto już wierzy w efektywność systemu sądowniczego i egzekucję podstawowych, a oczywistych zasad sprawiedliwości, to oznacza, że nie tylko dostrzegamy wokół siebie brutalizację norm, ale że taki stan rzeczy uznajemy nie tyle za normalny, co z pewnością powszechny. Cynizm, zwany przez eseldowców pragmatyzmem, staje się dominującym światopoglądem. Wniosek z tego płynie prosty: takie otoczenie społeczne nie tyle domaga się potępień, demaskacji i moralistycznej interpretacji, co przystosowania. Skoro wszyscy – jak sądzą – łamią zasady przyzwoitości, to chcąc nie chcąc, jeśli pragnie się coś znaczyć i zarobić (sukces życiowy w Polsce utożsamia się na ogół z dostatkami, wartościami ekonomicznymi), trzeba dostosować się do utrwalonych wymagań praktyki społecznej.

Przekonanie, że wszyscy łamią reguły, jest nie tylko powszechnym sposobem definiowania sytuacji społecznych, ale również alibi dla własnego postępowania. Nie mogą inaczej postępować, każdy może sobie powiedzieć, bo skazywałoby mnie to na klęskę i marginalizację. Oczywiście winę za ten stan rzeczy próbuje się zwać na polityków (grupę o najniższym społecznym prestiżu), biznesmenów, ale w istocie wiele osób zdaje się być gotowych do prowadzenia tej samej gry społecznej i poddania regułom nieufności i cwaniactwa. Co gorsza, ugruntowuje się przekonanie, że obecnie prawo jest gorzej chronione niż w czasach PRL-u, co samo w sobie odbiera już obecnemu systemowi wiele z jego politycznego i moralnego uprawomocnienia. System demokratyczny nie wydaje się już tak jawnie lepszy od realnego socjalizmu, a tęsknota czy nostalgia za starym reżimem się umacnia. Zresztą silne deklarowane przywiązanie do demokracji nie spotyka się z szacunkiem dla wartości wolnościowych i wiarą w efektywność tego systemu politycznego.

Polacy nie wierzą w uczciwe reguły gry i dlatego wątpią w to, że tylko rzetelną a ciężką pracą można coś zyskać. Nie bardzo wierzą, że tak dużo od nich zależy. Jeśli przyjąć, że społeczeństwo amerykańskie jest tym, które

daje praktyczne możliwości realizacji zasad indywidualistycznych (wszystko lub bardzo wiele zależy ode mnie, od mojej sprawności, wiedzy, pracowitości), a na przeciwnym biegunie sytuuje się Bułgaria, to w miarę stabilizacji systemu politycznego coraz bardziej jesteśmy skłonni wierzyć, że o naszych szansach życiowych decyduje anonimowy i przepastny system, a nie my sami (dziesięć lat temu 56% wierzyło w rozstrzygającą dla naszego życia rolę systemu, dzisiaj dobrze ponad 70%). Bliżej nam obecnie do Bułgarii niż do wyśniewanej Ameryki. Polska jest nadal krajem, w którym postrzeganie szans życiowych koncentruje się na systemie, a nie na jednostce. Nie zyskujemy większego poczucia kontroli nad własnym życiem i nie mamy zbyt dużego poczucia sprawstwa. Odpowiedzialnością za swoją nieudolność, lenistwo, ale i za swoje niezasłużone klęski, obarczamy ustrój, porządek społeczny i ustrojowy. Winimy chętnie państwo (system) za biedę, bezrobocie, złe dochody, oszustwa, korupcję, a zarazem od tego samego państwa-systemu domagamy się, by zdjąć z naszych barków brzemień odpowiedzialności. Wzmacnia się tylko przekonanie, że edukacja, inwestycja długiego czasu, jest skutecznym sposobem awansu społecznego i ekonomicznego.

Jednym z niezwykle ważnych czynników określających stan naszego samopoczucia zbiorowego jest narastające w szerokim przekonaniu rozwarstwienie społeczne. Dane socjologiczne fakt ten potwierdzają. O ile w roku 1984 skala nierówności wynosiła 3:1, jeśli przyjąć, że 20% najwyższych i 20% najniższych dochodów wyznaczało dolne i górne szczeble drabiny społecznej, to tak samo mierzona skala nierówności w roku 1998 wynosiła 6:1. Socjologowie skłonni są na ogół twierdzić, że dystanse społeczne rosną, acz nie prowadzą do sytuacji skrajnych, gdy to na jednym biegunie jest większość, na drugim mała grupa bogaczy.¹ Tymczasem nasz obraz struktury społecznej jest mocno uproszczony i wskazujący wyraźnie na wręcz rosnące poczucie niesprawiedliwości i krzywdy. Nasze społeczeństwo skłonni jesteśmy widzieć przez skrajności. Bipolarny obraz (są tylko dwa bieguny i prawie nic pośrodku) wiąże się przy tym z rozpowszechnionym przekonaniem, że gra społeczna ma charakter zerojedynkowy; gdy wygrywa jedna grupa (np. politycy, cwaniacy, przedsiębiorcy – tu zwycięzcy gry bywają różnie nazywani; skądinąd jest

¹ Bogdan Cichomski pisał: „Analiza dyspersji płac i dochodów wykazała jednoznacznie, że zmiany systemowe w kolejnych latach nie upośledziły najbardziej potrzebujących warstw dochodowych względem warstw ulokowanych pośrodku struktury społecznej. Co więcej, w sferze wynagrodzeń indywidualnych ta dwubiegunowa wizja nie znalazła potwierdzenia także i na przeciwnym krańcu struktury nierówności: górne warstwy wynagrodzeń nie zyskiwały w kolejnych latach dodatkowych przewag, a w porównaniu z początkowym okresem transformacji nawet nieco straciły”, – tenże, *Plaszczyzny nierówności dochodów i wynagrodzeń* [w] *Sprawiedliwość społeczna*, Warszawa 2001, s. 57.

to ciekawy problem), to druga traci. Albo inaczej: im lepiej jest jednym, tym gorzej ma być pozostałym. „W Polsce, podobnie jak w innych krajach postkomunistycznych dominuje postrzeganie struktur społecznych nierówności jako stanu wzajemnie uzupełniających się przeciwieństw biedy i bogactwa. Im więcej biedy tym mniej bogactwa. Im więcej bogactwa, tym mniej biedy. Klasa średnia jako uosobienie środka struktury społecznej nie odgrywa więc tak znaczącej roli w postrzeganiu nierówności, jak w krajach zachodnich”². Przekłada się to na opinię, że drogi awansu społecznego są dość ograniczone i że ten, kto urodził się w biedzie, tam też pozostanie. Jeśli do tego dodać, że wykluczenie społeczne jest przez wiele osób równoznaczne z wykluczeniem kulturowym, edukacyjnym i politycznym, to musi prowadzić do przekonania, że sytuacja ekonomiczna w sposób podstawowy wyznacza szanse życiowe jednostek.

Odradza się w związku z tym, i to w szybkim tempie, syndrom roszczeniowości i egalitaryzmu. Prowadzi to do poparcia z jednej strony idei etatystycznych, z drugiej formułowania wobec państwa coraz nowych oczekiwań. Marek Ziółkowski w związku z tym pisał, że orientacja „receptywno-rozszczeniowa przyjmuje różne postaci – od aktywnych działań po bierne oczekiwanie pomocy, od roszczeniowości wyrównawczej zakładającej wyrównywanie do średniej i swoistą sprawiedliwość dystrybucyjną po roszczeniowość uprzywilejowanych żądających z różnych względów specjalnych przywilejów.”³. Większość z nas domaga się od państwa, by zapewniło wszystkim pracę, 50% (trend rosnący) chce, by wyznaczyć górną granicę dochodów, 85% uważa, że rozpiętość zarobków w Polsce jest zbyt duża. Niewiele osób byłoby skłonnych wprowadzić jakieś formy odpłatności za opiekę zdrowotną czy edukację publiczną. Tylko co piąty Polak sądzi, że szanse życiowe są równo dystrybuowane. Lekarstwem na niesprawiedliwość społeczną ma być rozszerzony system redystrybucyjny. Jesteśmy bardziej niż Litwini, Ukraińcy, nie mówiąc o narodach Europy Zachodniej, niechętni liberalizmowi gospodarczemu i pełnym swobodom rynkowym. Doceniamy wagę konkurencji, jednak oczekujemy od państwa kontroli nad przedsiębiorstwami i rozbudowanego systemu opieki społecznej. Roszczeniowość nie sprzyja stabilizacji politycznej, bo łatwo może się okazać, że państwo nie jest w stanie tych oczekiwań zaspokoić (efektem rozczarowanie, rosnące poczucie niezadowolenia z instytucji i usług państwa), a i same, często wygórowane i nieuzasadnione roszczenia, wywołują poczucie frustracji.

² P. Morawski, *O akceptowalnych i dostępnych szansach awansu społecznego* [w] *Sprawiedliwość społeczna...*, op. cit., s. 100.

³ J. Koralewicz, M. Ziółkowski., *Mentalność Polaków: sposoby myślenia o polityce, gospodarce i życiu społecznym 1988–2000*, Warszawa 2003, s. 243.

Tym silniejsza zdaje się uogólniona postawa krytyczna wobec państwa i systemu, im bardziej z odpowiedzialności za państwo się wycofujemy, zapewne uznając, że od nas i tak niewiele zależy, lub też sądząc, że bez względu na to, kogo wybierzemy, model życia publicznego nie ulegnie zmianie. Tylko 30% obywateli deklaruje zainteresowanie życiem politycznym i polityką. Procent osób zainteresowanych polityką w ostatniej dekadzie wyraźnie maleje. Bardzo niski czy, jak niektórzy sądzą, wręcz katastrofalnie niski jest udział w wyborach i referendach. Niewiele osób należy do partii politycznych i kurczy się poziom społecznego samoorganizowania. W Polsce co dwusetna osoba deklaruje przynależność do jakiejś dobrowolnej organizacji, w krajach zachodnich co druga. Jedynie 5% obywateli należy do organizacji religijnych, co stawia nas na równi z najbardziej zlaicyzowanymi krajami takimi jak Francja czy Wielka Brytania. Polacy, jeżeli należą do jakichś organizacji, to przede wszystkim do związków zawodowych, organizacji zawodowych oraz stowarzyszeń religijnych. Zwija się prasa sublokalna (prasa wydawana przez organizacje społeczne lub osoby prywatne, niesubwencionowana przez gminy lub powiaty), maleje udział w życiu stowarzyszeniowym.

Zapewne mamy w tym wypadku do czynienia z klasycznym zamkniętym kołem: im mniej uczestniczymy w polityce, im gorsze mamy zdanie na temat polityków, im mniejsze mamy poczucie wpływu na decyzje władz (szczególnie centralnych), tym mniej ze świata oficjalnego rozumiemy i tym bardziej fantastyczne i kompletnie nierealne opinie i roszczenia wysuwamy. To przekonanie umacniają we mnie już nie tylko badania socjologiczne, ale i zwykłe rozmowy. Coraz częściej odnoszę wrażenie, że słabnie poczucie elementarnej racjonalności. Narzekamy na posłów i wąpimy w ich uczciwość, a zarazem wybieramy często osoby niewiarygodne, głoszące populistyczne hasła. Domagamy się sprawiedliwości, a zarazem oszukujemy na podatkach i masowo wyłudzamy renty. Rolnicy żądają gwarantowanych cen na swoje produkty, ale nie życzą sobie stałych cen na produkty przemysłowe. Dwie trzecie społeczeństwa domaga się zachowania istniejących świadczeń społecznych nawet kosztem rosnącego deficytu budżetowego, a w konsekwencji rozkładu gospodarki, co oczywiście prowadzi do krytyki rządzących i całego systemu. Takich przykładów jest bardzo wiele. Pewne wydaje się jedno: im mniej przejrzysty system, im bardziej spada zaufanie do administracji publicznej (zaufanie takie deklaruje obecnie 5% obywateli), władz ustawodawczych (7% zaufania), tym bardziej jesteśmy skłonni wszystkim, a w szczególności politykom i urzędnikom, przypisywać niskie i gorszącego motywy. Na ogół polityków uważamy za osoby nieuczciwe, pozbawione skrupułów i działające w interesie własnym. (Jerzy Bartkowski, *Social Capital in Poland*). Krok nas tylko dzieli od

rozpowszechnienia wszelkiego rodzaju spiskowych wizji świata, które od lat propaguje prasa i politycy nacjonalistyczni.

Niejednoznacznie przedstawia się nasz stosunek do ustroju demokratycznego. Co prawda 78% obywateli uważa, że demokracja jest najlepszym z możliwych rozwiązań ustrojowych, lecz zarazem 72% badanych utożsamia ją z niezdecydowaniem, 60% twierdzi, że nie daje sobie rady z utrzymaniem porządku, 72 % sądzi, że prowadzi do zbyt wielu kłótni. Wynika z tego, że nasz obraz wymarzonej demokracji jawnie nie zgadza się nie tylko z polską rzeczywistością, ale i z samą istotą demokracji. Wszak jej zasadniczym rysem są spory, różnice zdań, czasem kłótnie, a tempem podejmowania decyzji demokracja z pewnością ustępuje dyktaturom.

Polski obraz demokracji, co jest zjawiskiem dość trwałym, ma nie tyle charakter politycznoprawny (rządy prawa, wybory, sposób wyłaniania i kontroli władzy, kluczowe znaczenie partii politycznych), ale również socjalny. Niemal 80% respondentów uważa, że rząd jest odpowiedzialny za stan gospodarki, bezrobocie, opiekę społeczną, oświatę, ład kulturowy. Charakterystyczna z tego punktu widzenia jest hierarchia wartości. Na pierwszym miejscu stoi utrzymanie porządku w kraju (50%), dalej zahamowanie wzrostu cen (30%), wpływ na decyzje rządu (16%), a na samym końcu jest wolność słowa – 4%. Jak wskazują badania porównawcze, dokładnie odwrotnie kształtowały się nasze wybory przed upadkiem komunizmu, gdy to wartości wolnościowe były wyjątkowo mocno cenione. Wiele przemawia za tym, że wartości materialne odgrywają w naszym społeczeństwie rolę kluczową i niewielkie jest zrozumienie dla wartości nie- lub postmaterialnych.

Obarczamy władzę wyjątkowo dużą odpowiedzialnością, co z jednej strony pozwala nam ją winić, gdy ta z tych oczekiwań się nie wywiązuje, z drugiej trwamy w dawnych, rewindykacyjnych postawach. Nasza mapa świata, jeśli wolno tak powiedzieć, wydaje się nieco anachroniczna. Nie potrafimy, nie chcemy albo nie jesteśmy w stanie dostrzec autonomii sfery polityki, ekonomii, sfery społecznej i kulturowej. Wszak podstawą liberalnego poglądu na świat jest właśnie zdolność do odróżniania i sfer życia i elit właściwych każdej z dziedzin naszego funkcjonowania. Inne są zadania polityków, inne kapłanów, a jeszcze inne przedsiębiorców.

Co interesujące, Polacy mimo silnej i rosnącej nostalgii za PRL-em nie chcą powrotu realnego socjalizmu. Zdecydowanie opowiadają się przeciw dyktaturom lub tak zwanym rządóm silnej ręki. Jednak widzą alternatywę dla demokracji. Aż 87% obywateli uważa, że wskazana byłaby jakaś forma ustroju technokratycznego, w którym władzę wzięliby eksperci czy rzekomo bezpartyjni fachowcy. Ten wybór tyleż świadczy o zaufaniu do nauki, wiedzy, co przede wszystkim wskazuje, jak wielkie jest zniechęcenie do tego, co bywa nazywane partyjniactwem i niekompetencją.

Niezależnie od tego, jak przedstawia się ideał ustrojowy Polaków, i przyjmując, że jest to jakaś poprawiona elementami technokratycznymi wersja socjalnej demokracji, nie ulega wątpliwości, że Polacy źle oceniają funkcjonowanie naszego ładu, nisko sobie cenią instytucje przedstawicielskie (Sejm, Senat), nieufnie odnoszą się do kolejnych gabinetów. Niepokojąco brzmi ocena funkcjonowania państwa z punktu widzenia realizacji i reprezentacji interesów społecznych. Na rok przed upadkiem socjalizmu 48% twierdziło, że PRL służy interesom zbiorowym. Taki sam procent osób dziesięć lat później uznało, że III Rzeczpospolita jest państwem reprezentującym interesy zbiorowe.

W tej sytuacji uzasadnione jest kluczowe pytanie: czy obecny system polityczny ma mocną podstawę legitymizacyjną niezależnie od tego, jak krytyczne bywają i mogą być oceny poszczególnych ugrupowań politycznych będących akurat u władzy, bez względu na stopień zadowolenia czy niezadowolenia z klasy politycznej, zaufania generalnego do instytucji państwa?

Odpowiedź na to pytanie pozostaje otwarta, ale skłaniałbym się do przekonania, że właśnie dlatego, że akceptujemy generalnie ideały demokratyczne (lub – dokładniej – nie widzimy dla demokracji dobrej i realnej alternatywy), nasz krytyczny stosunek do poszczególnych rządów, decyzji władz, poszczególnych ustaw nie przekształca się w generalny kryzys ideowy czy konstytucyjny. W tym sensie można mówić, że nastąpiła konsolidacja systemu. Trwale są jego instytucje, rozwiązania, ideały, choć nietrwali są premierzy, ministrowie, wojewodowie.

Nie tylko umacniają się pośród nas postawy rewindykacyjne czy egalitarne wzięte żywcem z czasów socjalizmu, ale i postawy, które skłonny jestem nazywać ksenofobicznymi. Tolerancja jest wartością silnie postulowaną, co jednak nie znaczy, że jest zinternalizowana i praktycznie stosowana⁴. Spośród narodów europejskich przodujemy w niechęci do muzułmanów, przedstawicieli innych ras (bardzo wysoka niechęć do Afrykańczyków). Coraz mocniej brzmią wypowiedzi antysemityczne (wzrost jawnych antysemitycznych deklaracji w ciągu ostatnich lat z 6 do 12%).⁵ Niestety, antysemityzm jest w Polsce najsilniejszy spośród innych europejskich nacji. Bardzo silne są negatywne oceny imigrantów. 60% Polaków postuluje ograniczenie dopływu imigrantów, a 90% stwierdza, że pierwszeństwo w uzyskaniu pracy powinni mieć Polacy. Jedynie 15% deklaruje gotowość udzielenia imigrantom pomocy.

⁴ A. Grzymała-Kozłowska, *Trzy wymiary tolerancji w Polsce i w Europie* [w] M. Marody, A. Jasińska-Kania (red.), *Polacy wśród Europejczyków*, Warszawa 2002, s. 192.

⁵ Najpoważniejszym źródłem zagrożenia dla Polski są, zdaniem ankietowanych, Rosja i międzynarodowe organizacje żydowskie. Por. K. Kosela i inni, *Tożsamość Polaków a Unia Europejska*, Warszawa 2002; por. I. Krzemiński, *Pamięć polska, pamięć żydowska* „Przegląd Polityczny” nr 61 z 2003.

W porównaniu z innymi krajami regionu i całej Europy rosną wskaźniki tego, co w socjologii bywa nazywane rygoryzmem moralnym. Wzrasta stopień potępienia dla homoseksualizmu (już 82%), eutanazji, rozwodów, chorych na AIDS. Ów rygoryzm etyczny nie tylko zawiera się w ostrych potępieniach, ale przede wszystkim tkwi w poczuciu, że istnieją sztywne, niepodważalne i proste w zastosowaniu reguły etyczne, za pomocą których możemy jak lancetem oddzielić to, co dobre, od tego, co złe.

Socjologowie odkrywają nowe obszary autorytaryzmu. Coraz chętniej posługujemy się stereotypami, zajmujemy niemal wyłącznie ocenne stanowisko wobec swoich bliźnich, domagamy się bardziej surowych kar. W naszych obrazach moralności kładziemy nacisk na zewnętrzne czynniki regulujące stosunki międzyludzkie. Odwołujemy się do prawa, państwa, autorytetów, które chcemy uczynić swoimi moralnymi drogowskazami, a znika z naszego pola widzenia to, co subiektywne, wewnętrzne, indywidualne, a więc wszystko to, co wymyka się łatwym ocenom i prostej zewnętrznej kontroli. Nie tylko nie wzbogaca się nasza samowiedza psychologiczna, ale – co gorsza – skłonni jesteśmy traktować jako wadę, chorobę, grzech wszystko to, co mamy za niewłaściwe i niesłuszne, a dokładniej – nienaturalne. Owo słowo „naturalne” robi zawrotną karierę. Mamy naturalne poczęcia, naturalne są związki heteroseksualne, naturalne jest, że kobieta odpowiada za dom, naturalne, że dziecko słucha rodziców. Naturalne to tyle, co odwieczne lub ustanowione przez opatrność. Tego, co naturalne, nie można więc zmieniać, ulepszać, bowiem domaga się ono okopania i obrony przez tradycję uświęconych zachowań. Taka postawa zaiste ma niewiele lub zgoła nic wspólnego z głośno wyrażanymi choćby w Anglii i w Niemczech przekonaniem o narodzinach społeczeństwa ryzyka, przyspieszonej zmiany. My wierzymy, że nasze zasady są jedynie słuszne, inne dziwne lub niemoralne.

Nasz rosnący rygoryzm etyczny i skłonność do surowej oceny bliźnich nie da się jednoznacznie łączyć z religią czy, konkretnie, z treściami przekazywanymi przez Kościół katolicki. Widoczny jest z latami spadek zaufania do Kościoła (o 12% w porównaniu z rokiem 1990), choć nadal jest to instytucja ciesząca się największym zaufaniem społecznym. Ciągłe jesteśmy narodem w Europie wyjątkowym; największy odsetek osób deklaruje uczestnictwo w cotygodniowych mszach niedzielnych (około 78%). Jednak z badań prowadzonych przez Kościół wynika, że na cotygodniowe msze przychodzi najwyżej 50% wiernych⁶. Nasza religijność czy postawy

⁶ Musimy pamiętać o tym, że ankietowani często kłamią czy – nazywając rzecz delikatniej – przeinaczają fakty. Zwykle więcej osób deklaruje, że pójdzie na wybory, niż faktycznie to robi (różnica sięga 20%), ale również więcej twierdzi, że wzięło udział w wyborach czy referendum, niż to miało miejsce.

wobec świata niekoniecznie pokrywają się z tym, czego księża nauczają. Mniej niż dawniej osób twierdzi, że katolicyzm udziela właściwych odpowiedzi na pytania dotyczące potrzeb duchowych człowieka, nie dzielimy tak silnie z Kościołem przekonań dotyczących właściwego wzorca życia rodzinnego i seksualnego. Często uważamy, że kler nie udziela właściwych odpowiedzi na problemy społeczne i polityczne. Jeden z młodych socjologów pisał wręcz, że „Polacy oczekują od Kościoła, że będzie kimś w rodzaju terapeuty, który da wsparcie, wysłucha w obliczu spraw ostatecznych, usprawiedliwi złe postęпки, rozgrzeszy i uspokoi sumienie, a jednocześnie nie będzie się wtrącał niepytany do spraw klienta”⁷.

Generalnie chcielibyśmy widzieć Kościół przede wszystkim jako miejsce przeżywania religijnych doświadczeń, gdzie uczy się zasad etycznych, pomaga bliźnim w potrzebie. Natomiast zdecydowanie nie godzimy się na polityzację religii i aż 85% osób nie życzy sobie, by Kościół mówił nam, jak mamy głosować. Odradza się przy tym swoisty i głęboko historycznie zakorzeniony ludowy antyklerykalizm. 58% osób postrzega Kościół jako instytucję zbyt bogatą, pochłoniętą zdobywaniem wpływów i majątku. Chętnie dostrzegamy wokół siebie hipokryzję i dlatego też nie podoba się nam rozdzźwięk między ideałami głoszonymi z ambony a praktycznymi zachowaniami księży. Ten jednak „materialistyczny” klerykalizm ma niewiele wspólnego z ateizmem czy jakimś agnostycyzmem. (Choć inną i badaną kwestią jest to, w co Polacy wierzą. Jak twierdzi ksiądz profesor Piwowarski, 2/3 Polaków katolików to „heretycy”). Widoczne zmiany ekonomiczne i społeczne nie mają wpływu na proces sekularyzacji, odchodzenia od religii i praktyk religijnych.

Mimo poczucia niesprawiedliwości społecznej, mimo rozczarowania instytucjami demokracji, mimo bardzo krytycznej oceny funkcjonowania państwa coraz silniej deklarujemy swoje szczęście, zadowolenie z życia. W 1999 roku zadowolonych ze swojego życia było 64% i w porównaniu z rokiem 1994 o 11% spadła liczba niezadowolonych. Ten wynik wydaje

⁷ Zarazem jesteśmy dumni ze swej religijności, tradycjonalizmu, kultu rodziny, patriotyzmu. Tego właśnie Europa mogłaby się uczyć od Polaków, co brzmi komicznie i kompensacyjnie. Popisujemy się przed samymi sobą zaletami ducha, choć sami o sobie, swej uczciwości, Kościele, religijności (wyjątek – Papież), zasobności mamy dość krytyczne zdanie. Por. K. Koseła, *Tożsamość Polaków...*, *op. cit.*, s. 223. Silna jest w nas identyfikacja z polsnością, co nie owocuje szczególnie silną skłonnością do narodowej solidarności. „Mieszkańcy naszego kraju są nieustannie świadomi swojej narodowej identyfikacji...Widać jednak, że ta wygodna identyfikacja nie krępuje rąk i nie zobowiązuje do odczuwania szczególnej bliskości wobec innych Polaków” [w] K. Koseła, *Polak i katolik, Splątana tożsamość*, Warszawa 2003, s. 135; S. Mandes, *Formy religijności w społeczeństwie polskim* [w] M. Marody, A. Jasińska-Kania (red.), *Polacy wśród Europejczyków*, *op. cit.* s. 176.

się absurdalny czy po prostu niezrozumiały, gdy słyszy się wokół tyle niezadowolenia, narzekania. Być może jest to jednak związane z realną oceną swego poziomu życia. Gdy popatrzymy na poziom konsumpcji: liczbę kupionych aut, wzrost jakości i ilości nowych mieszkań, dostępność telewizorów kolorowych, telefonów komórkowych, komputerów – wyniki zgoła odbiegają od naszego, wszem i wobec głoszonych poczucia przegranej. Zapewne gdy kupujemy małe auto, budzi się w nas zawiść wobec tych, którzy mają duże i eleganckie. Wtedy okazywałoby się, że poczucie krzywdy rodzi się z porównywania z lepiej sytuowanymi, osobami na wyższych stanowiskach. Być może to w sumie niezłe samopoczucie daje się wyjaśnić czynnikami psychologicznymi. Dane socjologów wskazują na to, że rośnie zaufanie do siebie samego i że coraz sprawniej przystosowujemy się do nowego ładu. Mimo wszystko, coś i to wcale niemało zależy od nas samych. Jest jeszcze inne wyjaśnienie, które jest mi dość bliskie.

Otóż mam wrażenie, że szczęście lokujemy poza sferą publiczną, poza tym, o czym chętnie rozpisują się gazety, a więc w sferze rodzinno-domowej, i odnosimy je tyleż do sukcesu ekonomicznego, posiadania stanowisk, co zakorzenienia w trwałych i stabilnych związkach emocjonalnych. Rodzina, bez nauczania Kościoła katolickiego, zajmuje w Polsce kluczowe miejsce. Można rzec, że występuje u nas klasyczny syndrom bezpiecznej przystani, w której czujemy się dobrze i znajdujemy ochronę, wsparcie przed wrogiem, konkurującym środowiskiem społecznym. Aż 92% Polaków wiąże szczęście z udanym życiem rodzinnym, o wiele rzadziej z przyjaźniami lub życiem towarzyskim czy czasem wolnym. Osobliwością polską jest, że czas wolny związany z realizacją własnych zainteresowań nie jest bardzo wysoko ceniony. Tak samo rzecz się ma ze związkami przyjaźni. Wiele wskazuje na to, że świat dzielimy na swój, czyli rodzinę, i reszt – onych, którzy należą do obcego i w sumie zagrażającego nam żywiołu. Jan Poleszczuk pisał: „Można zaryzykować hipotezę, że mentalność Polaków jest zorganizowana wokół względnie ostrej opozycji: «my», nepotystycznej więzi krewniaczej, rodzina i «oni», którzy nie należą do rodziny, z którymi można ewentualnie się przyjaźnić, choć nie warto”⁸. Zamykanie się w kręgu rodzinnym współgra z malejącym zaufaniem do innych ludzi.

W 1990 roku 29,2 % osób uważało, że większości ludzi można ufać, a w 1999 roku taką opinię wyrażało 18%. Wzrosła też akceptacja dla twierdzenia, że gdy ktoś ma poważne kłopoty, to nikt nie troszczy się o to, co się z nim dzieje oraz tego, że człowiek współpracuje z innymi jedynie wtedy, gdy widzi w tym swój własny interes. Nic więc dziwnego,

⁸ J. Poleszczuk, *Rodzina, małżeństwo, prokreacja: racjonalizacja strategii reprodukcyjnych* [w] M. Marody, A. Jasińska-Kania (red.), *Polacy wśród Europejczyków, op. cit.*, s. 260.

że zaufania szukamy w bezpiecznym miejscu, w rodzinie. (W tym kontekście ciekawa może być informacja, że wzrasta liczba osób wierzących w piekło; poszukujemy jakiejś sankcji dla oszustów i skoro nie może osiągnąć ich ręka ludzkiej sprawiedliwości, to być może osiągnie ich karząca ręka Pana Boga).

Socjologowie piszą o nadwartościowywaniu więzi krewniaczych i niedowartościowywaniu więzi instytucjonalnych i kooperacyjnych. W praktyce oznacza to, że inne normy i wymagania mamy wobec swoich, odmienne wobec obcych. Surowo i zdecydowanie oceniamy hipokryzję i cwaniackie zachowania ludzi spoza naszego otoczenia, ale już inną taryfę stosujemy wobec „swoich”, czyli członków rodziny. Im nie wolno, nam wolno. Skłonni jesteśmy do tego, co bywa trafnie nazywane amoralnym familiaryzmem.

Model rodziny nie ulega szczególnym przemianom. Zasadniczo obowiązuje zasada cierpiętniczo-ofiarnicza: rodzice powinni poświęcać się dla dzieci, matka małego dziecka nie powinna pracować, a gdy kobieta ma wybrać między karierą a domem, wskazane jest, by trzymała się domu. Choć zarazem wkład finansowy matki-żony jest niezwykle ważny dla ekonomicznych podstaw rodziny. Ona ma pracować, zajmować się gospodarstwem, troszczyć o dzieciaki. Pojawia się oczywiście nowy wzorzec kobiecości, lansowany przez prasę, przede wszystkim kobiecą, oparty zarówno na fizycznej atrakcyjności jak i sukcesie zawodowym, ale, jak piszą socjolożki Anna Giza-Poleszczuk i Mirosława Marody, „w przypadku większości kobiet podkopuje dotychczasowe źródła poczucia wartości, nie oferując w zamian nowych.”⁹. Mimo że rodzice mają się poświęcać dla dzieci, to te nie są traktowane w duchu partnerskim. W domu nie widzimy miejsca dla zasad demokracji. Nie dopuszcza się do dyskusji, wspólnego decydowania. To głowa rodziny ma większe uprawnienia i zarazem zobowiązania.

Dla zachowania dobrego związku rodzinnego najważniejsze są wierność, wzajemny szacunek i zrozumienie, tolerancja. Najmniej istotne są podobne poglądy polityczne, pochodzenie społeczne oraz jednakowe przekonania religijne. Ważne są więc czynniki jakościowe, te, które zależą od dobrej woli partnerów, mniej istotne okazują się czynniki materialne. Udane życie seksualne nie odgrywa już tak istotnej roli. 54% przypisuje znaczenie temu czynnikowi, gdy wierności i tolerancji ponad 80%.

Owa niechęć do zmiany dobrze współgra z naszym modelem wychowywania dzieci. Za najważniejsze w edukacji uważamy dobre maniery, posłuszeństwo, religijność (choć ta traci powoli na znaczeniu), bezinteresowność. Nikłe znaczenie w procesie wychowawczym mają natomiast

⁹ M. Marody (red.), *Między rynkiem a etatem*, s. 74.

takie cechy, jak wyobraźnia, niezależność, wytrwałość, oszczędność. W ten sposób mniej lub bardziej świadomie reprodukujemy dawne nawyki i od dzieci domagamy się, by były grzeczne i ułożne, niewiele bacząc na ich osobowość i rozwój psychiczny.

Polacy generalnie zachowują niechętny czy krytyczny stosunek do liberalizmu obyczajowego i ekonomicznego. Wobec świata zewnętrznego zajmują postawę niezbyt ufą, tak jak wobec siebie samych (na ogół mamy naturę ludzką za złą i ułomną; wiara w piekło w ostatnich latach dziwnie się umacnia) i instytucji publicznych. Kapitał zaufania społecznego maleje, o czym pisali Mirosława Marody i Jerzy Bartkowski, a razem z nim kurczy się zaufanie do siebie i poczucie własnej wartości. Taki obraz świata wyłania się z raportów socjologów. Jest jedno poważne „ale”.

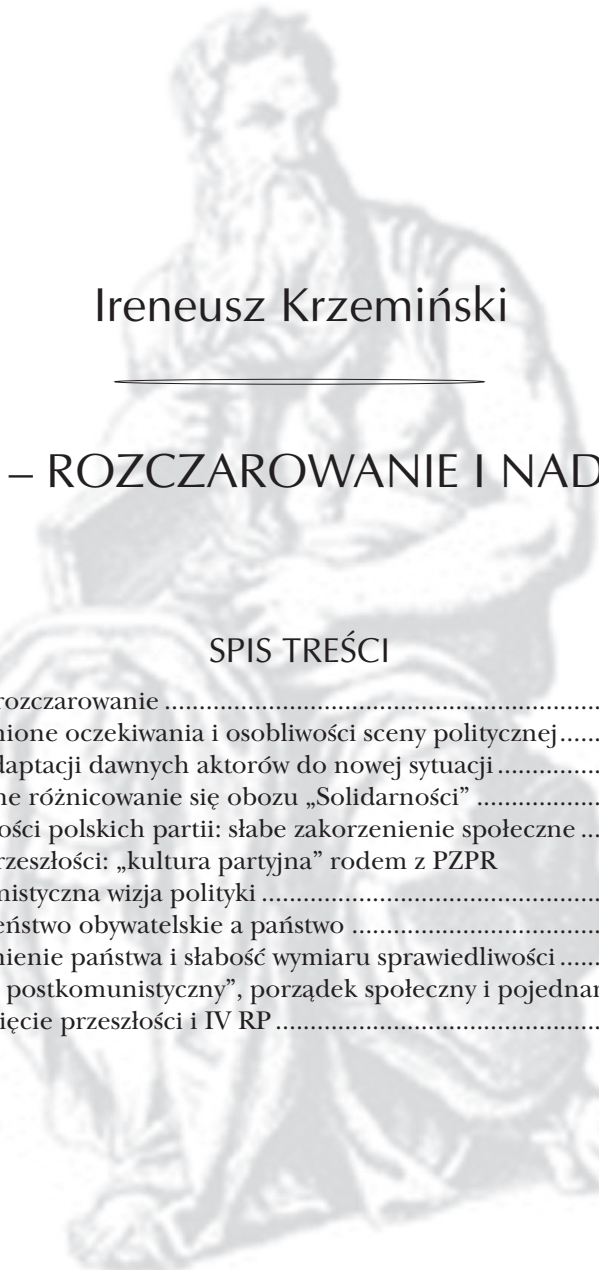
Zaczynamy się coraz bardziej dzielić. Między osobami z wielkich miast, dobrze wykształconymi, obdarzonymi dużą samowiedzą, ruchliwymi i ciekawymi świata, a większością otwiera się przepaść nie tyle ekonomiczna, ile mentalna. Niewiele w systemie wartości łączy typowego mieszkańca małego miasteczka czy wsi i inteligenta z Warszawy czy Krakowa. Różnią się nie tylko gustami, typem konsumpcji, językiem (dobrą miarą społecznych dystansów jest zasób słów), ale modelem wychowania dzieci, poziomem optymizmu, psychologicznymi obrazami. Ludzie wykształceni mają lepsze samopoczucie psychiczne, większe zaufanie do siebie. Czasami można odnieść wrażenie, że dawni i nowi inteligenci i zastępy wielkomiejskiej klasy średniej zrosły się z europejskim stylem życia i otwartym modelem społeczeństwa, podczas gdy reszta naszych współziomków zamyka się w swej nieufności, niechęci do otoczenia, umacnia w poczuciu bezradności i kolektywistycznych przekonaniach. Mimo podkreślania wagi czynników ekonomicznych, zasadnicze różnice mają, jak sądzę, charakter mentalny czy kulturowy i wbrew opinii wielu polityków najbardziej różnicują nas nie kapitały finansowe, ale kapitały biograficzne, kulturowe, edukacyjne. Okazuje się, twierdzą wybitni socjologowie, że „najsilniej różnicuje wiązka trzech zmiennych: wykształcenia, wieku i sektora gospodarki...Analizując wyniki badań, można wręcz odnieść wrażenie, że są to dwa odrębne społeczeństwa, a różnica ta zdaje się powiększać. Taki stopień zróżnicowania świadomości nie występował nigdy dotąd (odkąd prowadzono badania socjologiczne, czyli od lat sześćdziesiątych)”¹⁰. Dwie Polski oddzielają się jako „koła w społecznym mijaniu”, niewiele wiedząc o sobie. Jedyne, co się umacnia, to negatywne stereotypy. Ci z wielkich miast lekceważą resztę, „noszą się” w poczuciu izolacji i wyższości. Milcząca większość odnosi się do miastowych z poczu-

¹⁰ M. Ziółkowski, K. Zagórski, J. Koralewicz, *Wybrane tendencje przemian świadomości społecznej* [w:] *Pierwsza dekada niepodległej*, Warszawa 2001, s. 256.

ciem zawiści i mniej lub bardziej jawnej niechęci. Wspólnota narodowa staje się coraz bardziej fikcją przywoływaną jedynie w chwilach uroczystych i na nudnych lekcjach historii.

ABSTRACT

Social changes that started in the second half of the 1980s resulted in strengthening of the individualist orientation in Poland. More and more people appreciate such values as knowledge, entrepreneurship, thinking in perspective, but at the same time, since about the half of the 1990s, more and more people believe that connections and law evasion determine one's success. Moreover, more people than in the past have a feeling of having weaker and weaker influence on their own lives. Such situation leads to development of etatist views, expressing criticism of free market and distrust of democracy and law and order. What is more, sociological studies indicate growing intolerance, nationalism and anti-Semitism. I believe that changes of common consciousness have not been triggered by disappointment with reforms in Poland (although the negative opinion about the transformation is prevailing), but rather by growing and deep divisions in the Polish society, which indicate that we express different assessment of our condition and adopt different strategies of adaptation. Such differences are getting deeper and we can even talk about at least two separate Polish societies.



Ireneusz Krzemiński

IV RP – ROZCZAROWANIE I NADZIEJA

SPIS TREŚCI

1. III RP i rozczarowanie	499
2. Niespełnione oczekiwania i osobliwości sceny politycznej.....	502
3. Drogi adaptacji dawnych aktorów do nowej sytuacji.....	503
4. Polityczne różnicowanie się obozu „Solidarności”	506
5. Osobliwości polskich partii: słabe zakorzenienie społeczne	507
6. Balast przeszłości: „kultura partyjna” rodem z PZPR i komunistyczna wizja polityki	509
7. Społeczeństwo obywatelskie a państwo	511
8. Upartyjnienie państwa i słabość wymiaru sprawiedliwości	514
9. „Podział postkomunistyczny”, porządek społeczny i pojednanie	516
10. Zamknięcie przeszłości i IV RP	519



IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

Urodzony w 1949 roku, dr hab., profesor Uniwersytetu Warszawskiego, socjolog i publicysta; zwolennik socjologii humanistycznej i koncepcji interakcjonistycznych (książka *Co się dzieje między ludźmi?*. Badacz „Solidarności” („*Solidarność*”. *Projekt polskiej demokracji*), stereotypów narodowych i antysemityzmu (*Czy Polacy są antysemitami?*, 1996; *Antysemityzm w Polsce i na Ukrainie*) oraz zagadnień przemian ustrojowych (z P. Śpiewakiem *Druga rewolucja w małym mieście*).

Obecnie prorektor Wyższej Szkoły Komunikowania i Mediów Społecznych im. J. Giedroycia w Warszawie. Członek Polskiego Towarzystwa Socjologicznego i Polskiego Towarzystwa Studiów Politycznych, członek zarządu Polskiego PEN-Clubu. Członek Rady Konsultacyjnej Centrum Monitoringu Wolności Prasy.



WPROWADZENIE

*I*dea IV Rzeczypospolitej rozpoczęła obecnie swoje medialno-polityczne życie. Dzieje się to w znacznym albo całkowitym oderwaniu od pierwotnej idei, która zrodziła hasło IV RP – z całą pewnością oznaczające konieczność ważnych reform i zerwania z błędami III Rzeczypospolitej, które utkwiły w instytucjach i są błędami systemowymi RP. Pierwotna idea wyrastała z surowej oceny niedomogów działania naszego nowego państwa, ale – wbrew historycznej niekiedy w tonie krytyce tego hasła – wcale nie oznaczała zanegowania faktu, że III RP przyniosła Polakom niepodległy, suwerenny i demokratyczny byt państwowy, i że stanowiło to prawdziwe odrodzenie życiowych sił narodu, społeczeństwa i jednostek. Chodzi jednak o to, aby skierować rozwój Polski i Polaków na nowe tory, oczyszczając instytucje i działania polityczne, ale także myślenie i obyczaje zbiorowe z balastu przeszłości – nade wszystko komunistycznej, peerelowskiej. Zapewne ten element koniecznego rozliczenia peerelowskiej przeszłości tak rozwścieczył niektórych polityków i komentatorów życia społeczno-politycznego w hasle „IV RP”, szczególnie zaś środowiska skupione wokół „Gazety Wyborczej” i jej Naczelnego. Tymczasem zamysł – jak go rozumiem – był nawiązaniem do tradycji francuskiej, gdzie kolejne cyfry przy nazwie Republiki Francuskiej oznaczały zmiany, czasem bardzo istotne instytucjonalnie, ale przecież stanowiące nade wszystko kontynuację demokratycznej tradycji. Kolejne Republiki to niejako droga ku lepszym rządcom, ku lepszej świadomości, ku lepszej samoorganizacji demokratycznego państwa i społeczeństwa. Taka też była główna myśl przyświecająca powołaniu refleksji nad IV RP – czyli jak urządzić demokratyczne państwo, oczyszczając demokrację z jej błędów i szczególnego „zanieczyszczenia” balastem przeszłości, balastem PRL.

1. III RP I ROZCZAROWANIE

Uzasadnione jest stwierdzenie, że idea IV RP wyrosła z rozczarowania. Z rozczarowania faktem, że wielki, twórczy potencjał społeczny, który spowodował, że mogła się narodzić polska demokracja, został wyhamowany i użyty dla partykularnych celów przez różne grupy interesów, wśród których jednak prym wiodą postkomunistyczni prominenci – by użyć słowa używanego w chwili narodzin „Solidarności” i zaskakująco pasującego do obecnej sytuacji – kraju po 15 latach demokratyczno-rynkowych przemian. Także z rozczarowania ukształtowaną w III RP

elitą polityczną, wyrastającą przecież w znacznym stopniu z działaczy i ludzi związanych z tym najważniejszym dziełem zbiorowym Polaków w II połowie XX wieku, jakim była „Solidarność” – tak jakby to dziedzictwo nikogo – albo tylko bardzo niewielu – do czegokolwiek zobowiązywało. Rozczarowanie dotyczyło także ludzi demokratycznej opozycji, których działalność była prawdziwie podwaliną dla związkowego ruchu milionów i bez których odwagi, pomysłowości, wyobraźni i wrażliwości społecznej trudno sobie wyobrazić narodziny wolnej Rzeczypospolitej. Rozczarowanie dotyczyło także poziomu myśli, ale i szerzej – poziomu, by tak rzec, postaw życiowych, postaw moralnych, prezentowanych w życiu publicznym, czy – szerzej – w życiu zbiorowym przez polityczne i opiniotwórcze środowiska, włączając w to szczególnego aktora życia społecznego w Polsce, jakim jest Kościół katolicki.

Ale – krytycznie patrząc na to, co powyżej – można powiedzieć, że jest to właściwie rozczarowanie związane ze szczególnym momentem dziejowym. Takie momenty nie zdarzają się często – są raczej rzadkim podarunkiem historycznego losu, a oznaczają możliwość zbiorowego budowania, społecznego tworzenia od podstaw państwa i jego porządku, organizującego wspólne życie. Nie tylko zresztą państwa – wszak chodzi o ustanowienie wspólnych reguł i zasad życia społecznego, ustanowienie praktycznej hierarchii wartości, którymi społeczność chce się kierować w stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych, z innymi społeczeństwami i państwami. Podobne momenty zdarzają się także jednostkom – i są to momenty, w których można się poważić na realizację marzeń. W życiu zbiorowym także możemy mówić o zbiorowych albo grupowych marzeniach, swego rodzaju „snach na jawie”. Takim snem na jawie wydawać się mogła polska „Solidarność” w 1981 roku, ale również i wybory czerwcowe w 1989 roku, w wyniku których powstał w sercu „demoludów” pierwszy niekomunistyczny rząd! Są to niewątpliwie momenty, w których niemożliwe staje się możliwe i które stanowią wspaniałą pożywkę dla marzeń, a nawet mogą uwiarygodniać całkiem nierealistyczne pragnienia i oczekiwania.

Historia poucza, że te rzadkie momenty jeszcze rzadziej są należycie wykorzystane przez narody i społeczności, którym się przydarzają. Są bowiem ujmowane w tak nierealistycznych, utopijnych chciałoby się powiedzieć kategoriach i oczekiwaniach, że ich spełnienie oznaczałoby na stałe wkroczenie w krainę cudów. Czyż więc owo *rozczarowanie* nie jest raczej efektem przywiązania „rozczarowanych” intelektualistów do własnych, nierealistycznych oczekiwań i standardów? Albo też wynikiem nadmiernie optymistycznej oceny możliwości budowania nowego ładu przez społeczeństwo, którego potencjał okazuje się znacznie słabszy, niżby się pragnęło? A historyczne koleiny wyznaczają zgoła inne drogi w przyszłość niż planowane, zakładane i upragnione.

Hasło IV RP i podjęta wokół niego refleksja, stanowiąca diagnozę i propozycję zmian, oznacza jednak przeciwstawienie się pesymizmowi płynącemu z *rozczarowania*, a zwłaszcza z historycznej refleksji, że „na ogół w historii tak bywa”. Idea ta w istocie opiera się na całkiem innych i bardziej optymistycznych założeniach: po pierwsze, że skoro w przypadku upadku komunizmu niemożliwe stało się możliwe, to nie ma żadnego powodu, aby trwać przy złych rozwiązaniach, nawet jeśli zrosły się one z pozytywnym dziełem przebudowy państwa; po drugie, nawet jeśli dzieła historii rozciągają się w swych efektach z zamierzeniami i usiłowaniami ludzkimi, to i tak warto i należy podejmować usilnie, stanowczo i nieustępliwie wysiłki w celu realizacji przemysłanych rozwiązań – tym bardziej, gdy wynikają one z głębokiego przemyślenia wartości, którym mają służyć.

Należy jeszcze dodać, że refleksja nad IV RP, która miałaby być i kontynuacją, i zarazem radykalnym zerwaniem z błędami przeszłości – nie pojawiła się bez kozery. Wyrosła ze społecznej atmosfery: towarzyszy zbiorowym odczuciom Polaków na temat państwa i systemu społecznego, w których przeważa nie tylko rozczarowanie, ale zgoła rosnące niezadowolenie ze sfery publicznej. Co gorsza, w wielu środowiskach społecznych zaczyna temu towarzyszyć poczucie pesymizmu co do możliwości zmiany sytuacji – zarówno ich własnej sytuacji życiowej, jak i sytuacji ogólnej. Niezadowolenie społeczne przybiera różne formy, poczynając od rozpowszechnienia się *negatywnej definicji polityki i polityków*. Zlewa się to w jedno z równie negatywną oceną państwa jako *nie naszego, nie swojego* – państwa aroganckich i skorumpowanych urzędników, kierowanych i chronionych przez ich partyjnych, politycznych („bossów”) liderów. Prowadzi to często do wyrzeczenia się wszelkich aspiracji obywatelskich i powrotu do stanu przypominającego nieco czasy Peerelu: biernego, choć bardziej zirytowanego, podporządkowania się skorumpowanej administracji i realizowania swych życiowych ambicji niejako „obok” państwa i symbolizowanych przez nie reguł. Szczególnie fakt podejmowania działań niejako „obok reguł”, w tym także reguł prawnych, jest szczególnie niepokojący – tym bardziej że znajduje swe uzasadnienie we wzorcach postępowania znacznej części postkomunistycznej elity.

Inna reakcja, niemożliwa w peerelowskich czasach, to przyłączenie się do populistycznych, totalnych krytyków porządku państwowego: populizmu socjalnego – jeśli można tak go nazwać – spod znaku Samoobrony bądź też narodowokatolickiego spod znaku Ligi Polskich Rodzin. Tu stawiane są pytania, dotyczące krytycznego rozliczenia nie tylko przeszłości peerelowskiej, ale i wcześniejszej, narodowej tradycji, do czego jeszcze powrócę.

Populistyczna kontestacja wyraża sobą przekonanie o braku wartości, które powinny być przestrzegane w działaniu systemu. I stara się nazwać

je po swojemu, w radykalny i tragicznie uproszczony sposób. Pytanie więc o to, jakich to wartości brak w systemie III RP, albo – przynajmniej – jaki niedostatek wartości przypisuje się jej społecznie – to ważny element diagnozy i namysłu nad przyszłością.

2. NIESPEŁNIONE OCZEKIWANIA I OSOBLIWOŚCI SCENY POLITYCZNEJ

Sądzę, że *rozczarowanie* intelektualistów i „zwykłych ludzi” zbiega się ze sobą. Wiele napisano na temat „nierealistycznego” programu historycznej „Solidarności”, a w związku z tym – również nierealistycznych oczekiwań, z jakimi wkroczyliśmy wszyscy w niespodziewanie otwartą drogę w przyszłość, w czas epokowych przemian. Zapewne, 25. rocznica powstania wyzwolicielskiego ruchu przyniesie wiele kolejnych, interesujących głosów na ten temat. Jednakże wydaje się mało dyskusyjne, że najważniejszym oczekiwaniem ustrojowym większości Polaków, związanym z narodzinami nowego ładu, było oczekiwanie na uczestnictwo w życiu publicznym „zwykłego człowieka”. Nowe państwo, aby było „naszym państwem”, miało szanować obywateli i słuchać ich głosu, działać zgodnie z wolą ogółu, a więc z opinią większości społeczeństwa, uformowaną w otwartej debacie. To obywatele i ich głosy miały mieć decydujące znaczenie. Doświadczenie „Solidarności” można bowiem potraktować jako swoisty eksperyment, w którym tworzył się ład demokracji uczestniczącej, demokracji dyskutującej i rozważającej właściwe działania instytucji związkowych. Była to jakby próba „właściwych” stosunków władzy w zorganizowanym działaniu, ale zatem była to – a w każdym razie tak ją można potraktować – swego rodzaju „przymiarka” do stosunków w nowym, własnym, „naszym” państwie.

Wyzwolenie społeczeństwa z okowów komunistycznego zniewolenia odbywało się dzięki „Solidarności” i miało być jej wyrazem, a więc także wyrazem oczekiwań i aspiracji jej członków i uczestników. Jednak tworzony – i tworzący się – ład demokratycznego państwa powstawał „odgórnie”, zgola w odwrotny sposób, niżby to wynikało z oczekiwań i dążeń społecznych. Socjologowie, którzy doradzali pierwszej, ograniczonej reprezentacji nie komunistycznej w Sejmie – Obywatelskiemu Klubowi Parlamentarnemu – zwracali od początku uwagę na fakt reformowania państwa i tworzenia podwalin nowego ładu nad głowami obywateli. Apelowali o właściwą odpowiedź na społeczną potrzebę uczestnictwa, na konieczność włączenia milionów „zwykłych ludzi” w dzieło przebudowy życia politycznego, społecznego i gospodarczego. Apele te były nieskuteczne: ogromna część obywateli miała na początku lat dziewięćdziesiątych poczucie, że nowa elita polityczna ich nie słucha, a przez

to – nie mają oni swego reprezentanta. Najlepiej wychodziły jeszcze na tym związki zawodowe, zarówno „Solidarność”, jak i OPZZ – do 1993 roku około jedna czwarta społeczeństwa uznawała je za swych dobrych reprezentantów. Nie dotyczyło to partii politycznych, które powstały wraz z narodzinami demokracji i prawdziwie wolnymi wyborami.

Brak poczucia reprezentowania, a zarazem potrzeba i przekonanie, że ma się prawo do wyrażania swych dążeń i walki o swe interesy, zmieniło Polskę w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych w arenę społecznych demonstracji. To za pomocą ulicznych marszów i demonstracji, głódówek i obłęgów urzędów czy biur realizowano potrzebę uczestnictwa i prawdziwej społecznej debaty, o czym przekonująco pisali G. Ekiert i J. Kubik¹.

Oczywiście, bez końca można zapewne dyskutować na temat dylematów powstawania systemu partyjnej reprezentacji po 1989 roku: czy zawiły elity, czyli przywódcy – organizatorzy partii politycznych, czy samo społeczeństwo, zaskoczone koniecznością opowiedzenia się za różnymi reprezentacjami i koniecznością wyboru w zupełnie innej, niż dotychczasowa dwubiegunowa sytuacja?

Obie grupy czynników zapewne wchodzi tu w grę, ale warto zwrócić uwagę, że podział sceny politycznej i sposób kształtowania się ugrupowań politycznych przebiegał u nas szczególnie osobliwie. Najważniejszym, rzecz można „pierworodnym”, grzechem polskiej demokracji były zawiedzione oczekiwania na uczestnictwo w procesie reform „zwykłych ludzi”, brak prób stworzenia efektywnych form komunikacji między wyłaniającą się postsolidarnościową elitą polityczną a ogółem obywateli. Ci ostatni mieli poczucie, że aby wyrazić swe postulaty, trzeba uciec się do nadzwyczajnych sposobów, takich jak marsze i demonstracje albo spektakularne głódówki.

3. DROGI ADAPTACJI DAWNYCH AKTORÓW DO NOWEJ SYTUACJI

Po pierwsze, brak rozliczenia komunistycznej, peerelowskiej przeszłości otworzył komunistom bez żadnych ograniczeń drogę legalizacji swego politycznego istnienia – nazywani byli teraz postkomunistami. Początkowo beneficjentem tego stało się ZSL, które – wciągnięte w demokratyczną grę – błyskawicznie zmieniło skórę z wiernego wasala PZPR w nawiązujące do przedwojnia PSL. Nawyki myślenia i działania, a także głębsze sojusze – pozostały bez zmian, co zresztą nie wyszło Stronnictwu, w dłuższym okresie, na dobre.

¹ G. Ekiert, J. Kubik, *Rebellious Civil Society. Popular Protest and Democratic Consolidation in Poland, 1898–1993*, Michigan 1999.

Inaczej stało się jednak z główną, „przewodnią siłą” realnego socjalizmu, czyli PZPR. Znacznie efektywniej – w czym nic dziwnego – zapewniła sobie ona miejsce w nowej rzeczywistości. Wszak strategiczny plan z 1989 roku nigdy nie zakładał prawdziwej demokratyzacji Polski, raczej miał stwarzać miejsce na włączenie „solidarnościowej” opozycji w machinę rządzenia na podobnej zasadzie, na jakiej działały wasalne partie, wspomniany ZSL i SD. Przewidywane, a częściowo projektowane zmiany z góry zakładały więc miejsce dla partyjnego aparatu. Aczkolwiek cały plan spalił na panewce i przyspieszone przemiany zmieniły tę strategię w prawdziwy proces demokratyzacji, to i tak działacze aparatu partyjnego – w tym szczególnie przedstawiciele systemu represji, SB i innych służb specjalnych, jednak zaniepokojonych o swe grzbiety – mogli bez przeszkód zająć przemyślane i przygotowane dla siebie miejsca w nowym ładzie, zwłaszcza gospodarczym. Ideologiczna wizja kapitalizmu, w której była wychowana partia, wskazywała wszak na to, iż dobra pozycja ekonomiczna daje siłę polityczną. I nic dziwnego, że w sytuacji, gdy zabrakło rozliczenia peerelu i nie postawiono żadnych barier również w procesie przejmowania własności – postkomuniści zapewniać sobie poczęli z coraz większą efektywnością nie tylko pozycję ekonomiczną, ale także wpływy polityczne i możliwość powrotu do rządzenia krajem.

Jedno z drugim było zresztą powiązane, gdyż korzystając z pierwotnego uprzywilejowania politycznego komuniści zajęli dogodne pozycje, czyli przejęli udziały własnościowe w strategicznych punktach gospodarki narodowej, o czym przekonuje sytuacja po 15 latach w energetyce, przemyśle zbrojeniowym, czy nawet w górnictwie, gdzie wciąż ma wpływy peerelowskie lobby. Rzecz jasna, nie tylko istotne, czy nawet węzłowe gałęzie gospodarki służyły do ulokowania się i uzyskania dobrej bądź zgoła uprzywilejowanej pozycji przedstawicielom dawnego aparatu. Sprzyjało to szybkiemu odbudowaniu politycznego potencjału ugrupowania, które stało się kontynuacją dawnej PZPR. Do dziś nierozwiązana sprawa tzw. moskiewskich pieniędzy wskazuje na to, że w dużym stopniu mieliśmy do czynienia nie tylko ze spontanicznymi działaniami jednostkowymi lub grupowymi, ale z przemyślaną strategią postępowania, przygotowaną i efektywnie zastosowaną przynajmniej przez znaczną część przedstawicieli pezetpeerowskiej formacji. Zjawisko to Jadwiga Staniszkis nazwała „kapitalizmem politycznym”: uzyskane pozycje ekonomiczne potęgowały możliwości polityczne, a z kolei powrót do demokratycznej polityki pozwalał na stworzenie narzędzi chroniących uprzywilejowane pozycje w gospodarce. Owe narzędzia, służące do ochrony partykularnych interesów były głównie, acz nie jedynie, narzędziami prawnymi: możliwe było takie konstruowanie prawa gospodarczego – ale i prawa ogólnie – aby chroniło ono określone

interesy grupowe. To właśnie stanowi istotę zjawiska opisywanego przez Jadwigę Staniszkis pod nazwą „kapitalizmu politycznego”.

Analizy takie jak Staniszkis wskazują zarazem na nierównomierność warunków rozwoju gospodarczego, nierównomierność – by tak rzec – administracyjnej i prawnej infrastruktury, dającej nieuzasadnione przywileje różnym grupom biznesowym i wyraźnie stawiającej bariery innym przedsiębiorcom. Można to uznać za skutek i swego rodzaju kontynuację branżowości z czasów socjalistycznej gospodarki. Wszak dawne, socjalistyczne grupy przemysłowych lobby nie utraciły swej pozycji – najlepszym przykładem jest wspomniane już górnictwo.

Los dawnego Stronnictwa Demokratycznego pokazuje inną drogę adaptacji do nowej sytuacji niż obrana przez ZSL, ale wybraną także przez różne inne organizacje, zmienione w grupy interesów. O ile ZSL przemienił się – przy nienaruszonej w żaden sposób bogatej infrastrukturze materialno-organizacyjnej – w nową partię, o tyle ewolucja SD poszła w innym kierunku: Stronnictwo zmieniło się w organizację reprezentującą społeczno-gospodarcze interesy znacznej części swych członków – rzemieślników i drobnych wytwórców. Nade wszystko jednak stało się dochodową organizacją, kapitalizując i komercjalizując swój bogaty majątek, wyniesiony z PRL. I znowu brak rozliczenia z przeszłością stwarzał prostą możliwość wzbogacenia się znacznej grupie peerelowskich działaczy. Prawo było tak konstruowane, aby było to możliwe i legalne².

Strategia prawnej ochrony organizacyjno-grupowych interesów była obecna od początku nowego ustawodawstwa, a praktyczne działania obserwowane przez wszystkich aktorów życia społecznego. Takie więc wzorce stały się „normą” społeczną i szybko podobne próby zaczęły podejmować również ci, którzy wywodzili się z ruchu opozycyjnego i „Solidarności”. Jednym z tego efektów jest nieustająca *migotliwość prawa*, jeśli można tak określić stan rzeczy, kiedy przepisy, istotne dla samodzielnej działalności społecznej i gospodarczej, zmieniają się z roku na rok, a nawet i częściej. Zapewne dzieje się tak i dlatego, że kolejne rządy partyjne (a więc w sumie i państwo!) zaczęły działać jako swoista „grupa interesów”, stwarzająca sobie warunki do realizacji – choćby – wyborczych obietnic albo zapewnienia dobrych transakcji „swoim” grupom biznesowym.

² Inne przykłady dotyczą spółdzielczości, zwłaszcza mieszkaniowej. Spektakularny jest przykład tzw. ogródków działkowych. Komunistyczna ogólnopolska „czapa” działkowiczów przekształciła się w organizację – posiadacza ziemi działkowiczów! Dysponuje olbrzymim majątkiem, a władze samorządowe muszą się liczyć z tą „organizacją działkowiczów”, nie mogąc podjąć decyzji przestrzennych nawet w najbardziej oczywistych dla interesu społecznego sytuacjach.

4. POLITYCZNE RÓŻNICOWANIE SIĘ OBOZU „SOLIDARNOŚCI”

Drugim elementem istotnym dla pierwotnej sytuacji było nie to, że zanikł, czy też rozmył się podział na postkomunistów i postsolidarnościowców. Rzecz raczej w przebiegu procesu różnicowania się politycznego „solidarnościowej” reprezentacji społecznej. Sposób dzielenia się i różnicowania postsolidarnościowej reprezentacji społecznej miał zasadniczy wpływ na załamanie się poparcia i uczestnictwa w systemie politycznym. M. Grabowska w swym *Podziale postkomunistycznym* całkowicie zasadnie dowodzi, że społeczna większość, dla której komuniści i ich władza byli „onymi”, obcymi – pozostali takimi i w nowej rzeczywistości³. Pierwsze wyborcze zwycięstwo postkomunistów w 1993 roku było możliwe bardziej dzięki rozbiciu „prawej strony” – metaforycznie mówiąc – sceny politycznej, czyli strony postsolidarnościowej, niż rzeczywistemu, szerokiemu poparciu postkomunistów. Dyscypliną wykazał się tylko obóz peerelowski – ta część społeczeństwa, która konsekwentnie trwała przy dawnym systemie do końca.

Rozbicie postsolidarnościowej części sceny politycznej było w dużym stopniu także efektem nierozliczenia komunizmu, a raczej – efektem forsownego poparcia, udzielonego przez grupę niezwykle ważnych, symbolicznych postaci antykomunistycznej opozycji staremu reżimowi i przyzwolenia, by bez żadnych ograniczeń dawni *partyjni* mogli działać politycznie w nowej rzeczywistości. Moja teza jest jasna: nie tyle konieczność zróżnicowania ideowego i zróżnicowania reprezentacji interesów ekonomicznych w dotychczas jednolitym, antytotitalarnym ruchu wpędziła w konsternację „prosolidarnościową” opinię publiczną, na dłuższą metę rodząc rozczarowanie i niechęć do partii i politycznego reprezentowania obywateli. Decydujące znaczenie miał sposób, w jaki dokonały się podziały i różnicowanie pozycji partyjnych. Nie dość, że wszystko przebiegało w atmosferze, którą „zwykły człowiek” odczytywał jako taką, w której jego głos nie liczył się wcale, albo niewiele, to jeszcze ostrość wzajemnej krytyki i ataków, kierowanych przez przedstawicieli obozu postsolidarnościowego na niedawnych sojuszników i przyjaciół, tworzyła coraz bardziej krytyczny obraz partii politycznych, polityki i polityków w ogólności.

Dochodził do tego fakt, że debata postsolidarnościowa zanurzona była – niejako – w *podwójnym dyskursie*: z jednej strony partykularyzowała dotychczas wspólne interesy wobec postkomunistów i przeszłości, z drugiej – uczestniczyła w dyskursie, który oznaczał grę grupowych interesów

³ M. Grabowska, *Podział postkomunistyczny. Społeczne podstawy polityki w Polsce po 1989 roku*, Warszawa 2004.

partyjnych. Spór o przeszłość i stosunek do postkomunistów budowały zasadnicze podziały wśród postsolidarnościowych partii, stanowiąc kamień węgielny – by tak rzec – deklarowanych i wyznawanych wartości. Ale zarazem, w praktyce, stosunek do PRL i postkomunistów był często instrumentalizowany niemal przez wszystkich aktorów politycznych, włącznie z „Gazetą Wyborczą”, najsilniejszym sojusznikiem postkomunistów. Jednak nawet i „Gazeta” przyłączyła się do antykomunistycznego dyskursu, gdy pod koniec pierwszych rządów postkomunistycznych na eksponowanych stanowiskach urzędniczych pojawili się dawni bojówkarze z czasów gierkowskich, bijający uczestników i organizatorów wykładów „Latającego Uniwersytetu” (w tym Jacka Kuronia i członków jego rodziny).

Intensywność sporu o przeszłość wcale nie sprzyjała klarowności stanowisk, a wręcz odwrotnie: pozwalała na duże zamieszanie w deklaracjach co do prawdziwie uznawanych wartości. W dodatku w skomplikowany sposób wiązało się to z realnymi, aktualnymi interesami. W sumie, w komunikacji społecznej spory personalne, odniesione często do stosunku do przeszłości, zajmowały poczesne miejsce. W debacie publicznej mętnie i aluzyjnie mówiło się o grze rzeczywistych interesów ogólnospołecznych i grupowych, a w każdym razie sposób ich ekspresji był pośredniczony przez konflikty historyczno-personalne.

5. OSOBLIWOŚCI POLSKICH PARTII: SŁABE ZAKORZENIENIE SPOŁECZNE

To z całą pewnością tworzyło mur nieufności wobec partii politycznych, wobec ich deklaracji i intencji. Ale – znowu należy tu przywołać Grabowską – słabość politycznej, partyjnej reprezentacji płynęła nie tylko z tej osobliwości dyskursu i komunikacji społecznej. Przecież temu towarzyszyła rzeczywistość, materialna rzecz można, infrastruktura. Tworzone od podstaw, a skłócone, szukające swego wyrazu ideowego i organizacyjnego partie postsolidarnościowe od początku były w beznadziejnie gorszej sytuacji niż postkomuniści. Ci ostatni, poza dziedzictwem doświadczenia w rządzeniu i administrowaniu państwem, zachowali całą niemal bazę materialną, jaką dysponował PZPR. Do tej pory nie udało się wyjaśnić choćby sprawy „moskiewskich pieniędzy” i raczej wątpliwe, żeby to się stało w najbliższym czasie. Możliwości organizowania się i działania odradzającej się partii postkomunistów były zgoła niewspółmierne do warunków, jakimi dysponowały nowo powstające partie, bez względu na błędy, które skądinąd ewidentnie popełniały.

Brak społecznego zakorzenienia – tak można opisać sytuację większości tworów partyjnych III RP, z wyjątkiem partii postkomunistów. Partie przybrały w Polsce charakter organizacji kadrowo-lobbystycznych.

Członkostwem w partii i nawiązaniem współpracy zainteresowani bywają niemal wyłącznie ci, którzy – z różnych powodów i kierując się różnymi motywami – pragną wystąpić w wyborczych szrankach, czy to na poziomie lokalnym, samorządowym, czy też ogólnokrajowym. W tym sensie można mówić o „kadrowości” partii. Zarazem jednak często przynależność bądź ściśle związki partyjne służą rozmaitym partykularnym interesom społeczno-ekonomicznym, czy to grupowym, czy indywidualnym. W tym sensie można mówić o partiach jako grupach lobbystycznych.

Skąd ta kwalifikacja, skoro wedle ważnej tradycji politologicznej partie stanowią reprezentację określonych interesów społecznych, albo zgoła *stricte* ekonomicznych? Otóż różnicę i szczególność naszej sytuacji widziałbym w dwóch faktach. Po pierwsze, wielkość organizacji partyjnych: nasze partie na ogół są tworamii niewielkimi, bardzo elitarnymi, rzecz można. To przesądza, że na ogół reprezentują w praktyce jedynie wybrane, dość ściśle określone interesy, nie zaś interesy wyodrębnionych segmentów gospodarczych. Po drugie, z reguły wcale nie jest oczywiste, jakie to ekonomiczne interesy chcą reprezentować i ich bronić oraz dla czego to czynią? Jak się mają owe interesy do partyjnych programów i do dobra wspólnego? Pierwszym nasuwającym mi się przykładem jest sprawa tzw. biopaliw. PSL wystąpiło jako orędownik obowiązkowego wprowadzenia biopaliw na nasz rynek, argumentując to ogólnym interesem rolników. W czasie debaty, która ujawniła olbrzymie wątpliwości dotyczące efektywności i bezpieczeństwa stosowania biopaliw, wyszło na jaw, że tak naprawdę forsowana ustawa miała zapewnić olbrzymie zyski grupce przygotowanych do wytwarzania tego rodzaju paliwa przedsiębiorców albo wywodzących się z PSL, albo ściśle z nim związanych sojuszników z SLD. W dodatku rzekome zyski, jakie mieli czerpać z tego „zwykli rolnicy”, okazały się fikcją. Cała sytuacja przyczyniła się do kolejnej kompromitacji PSL w oczach rolniczego elektoratu, ale też utwierdziła znaczną część opinii publicznej w tym, że jeśli partie występują jawnie w imię jakichś interesów, to „zawsze” są to wąskie interesy ludzi danej partii, albo jej swego rodzaju „klientów”, a wszystko dzieje się bez uwzględnienia szerszych interesów społecznych i dobra wspólnego.

Wielkość organizacji partyjnych, rzecz jasna, nie przekłada się automatycznie na jakość partyjnego działania. Jednak dostatecznie liczne twory partyjne, w których kariera organizacyjna jest właściwą drogą do kariery w systemie politycznym, są tu ważnym warunkiem. Chodzi o obecność – by tak rzec – wewnątrzpartyjnej opinii publicznej i wewnętrznej aktywności, która jest prowadzona na co dzień, a nie tylko z okazji zbliżających się wyborów. Tylko więc tak działające i dostatecznie liczebne organizacje partyjne zapewnić sobie mogą rzeczywiste zakorzenienie społeczne, tzn. obecność w lokalnych, żywych wspólnotach społecznych.

6. BALAST PRZESZŁOŚCI: „KULTURA PARTYJNA” RODEM Z PZPR I KOMUNISTYCZNA WIZJA POLITYKI

Należy tu koniecznie wspomnieć o jeszcze jednej konsekwencji nierozliczenia komunizmu, przejawiającej się w formach życia partyjnego. Partie komunistyczne – w naszym przypadku była to PZPR – miały swoistą strukturę organizacyjną, swoiste poczucie przynależności i wypracowane, głęboko przyswojone nawyki partyjnego zachowania się i myślenia. Wszak były to partie „centralizmu demokratycznego”, które wpajały swym członkom stosowne poczucie hierarchii i dyscypliny organizacyjnej. Kształtowały też z całą pewnością określoną wizję i określone rozumienie „polityki”, a także sposobu jej uprawiania. Nade wszystko dotyczyło to relacji partia–państwo, ale również formowało zwyczajowe stosunki między członkami partii, „swoimi” oraz „obcymi”, aktorami z zewnątrz, także z konkurentami i przeciwnikami politycznymi. Ochrona „swoich” wbrew wszelkim okolicznościom i za wszelką cenę, szczególnie w sytuacjach konfliktu z innymi aktorami społecznymi, była głęboko przyswojona – wszak troska o fasadę i umiejętność narzucania swojej definicji sytuacji otoczeniu to był partyjny elementarz, wypracowywany w warunkach „realnego socjalizmu”. „Swoich” można było sądzić, ale we własnym gronie, nie można zaś dopuszczać, aby stawało się to sprawą publiczną. W pewnym sensie tradycja pezetpeerowska, zwłaszcza po doświadczeniu gierkowskim, sprzyjała traktowaniu od początku do końca partii jako stróża nade wszystko własnych, grupowych interesów, wówczas interesów „ludzi władzy”, a nie ogólniej zdefiniowanych interesów społecznych. To, co dobre dla nas, musi być dobre i dla innych – tak można by kolokwialnie ująć jedną z zasad myślenia, wyniesionego ze „szkoły” realnego socjalizmu. Ewentualnie, należy jeszcze coś dać tym, którzy mogą być sojusznikami, bądź też tym, którzy mogliby najgłośniej i niebezpiecznie protestować. Oznaczało to również umiejętność manipulowania i ukrywania właściwych celów, planów i motywów działania pod płaszczykiem ogólnikowych deklaracji „służenia społeczeństwu”.

Jednym z istotnych elementów tej *kultury partyjnej* – by użyć określenia nawiązującego do badaczy nurtu neoinstytucjonalnego, zwracających szczególną uwagę na kulturę organizacyjną i jej trwałość – było poczucie nie tylko dyscypliny partyjnej, ale też i lojalności wobec organizacji, do partii jako takiej. Miało to swoje konsekwencje w pełnieniu funkcji państwowych – ich spełnianie oznaczało wszakże rekomendację partyjną i wobec tego wymagało lojalności wobec partii, a co najmniej – tych osób i frakcji, którym się rekomendację zawdzięczało. Oczywiście, w realnym socjalizmie lojalność partyjna – organizacyjna – była podstawowa, a lojalność wobec

instytucji państwowych – niejako wtórna. Ale – jak pokazało najnowsze doświadczenie z okresu rządów towarzysza Millera – spadkobiercy i kontynuatorzy PZPR z SLD mają tak głęboko wpojone nawyki, że kulturę organizacyjną przenieśli do nowej partii i w nowe stosunki. Potraktowano państwo jako „nasze”, skoro uzyskano legitymację do rządzenia, i stosownie do tego potraktowano instytucje i urzędy państwowe jako własne, wspólne członkom ugrupowania „terytorium partyjne” – przynajmniej na czas do następnych wyborów. Stąd też zupełnie inny rodzaj i zakres korupcyjnych zachowań w ramach całego organizmu administracyjnego państwa, zarówno w wymiarze rządowym, jak i samorządowym, niż jakiegokolwiek wcześniejsze korupcyjne zachowania polityków i urzędników. Cały organizm państwowy – albo niemal cały – stał się „terytorium partyjnym” SLD. Korupcja była efektem zdominowania lojalności wobec urzędów i ogólnie wobec państwa przez lojalność partyjną.

Reguły omawianej kultury organizacyjnej dotyczyły też stosunku do przeciwników i konkurentów. Zgodnie z leninowską zasadą, wyłożoną niezwykle starannie w pracy *Materializm a empiriokrytycyzm*, wszelkie sojusze i wszelkie zobowiązania należy traktować tylko i wyłącznie z punktu widzenia zabezpieczenia bądź możliwości zdobycia większej i nieskrępowanej przez innych władzy. Optymalizacja własnej pozycji i własnych korzyści to reguła bezwzględnie dominująca. Zmienić można wszelkie obietnice, a wszelkie gwarancje należy traktować jako umowne – liczy się tylko końcowy efekt, korzystny dla nas, dla „swoich”. To oczywiście wyjątkowo cyniczna koncepcja polityki – twierdzę, że od początku transformacji stosowana przez spadkobierców PZPR. Kryje się za tym następna teza: to działanie, początkowo na niewielką skalę, stało się wzorotwórcze, wprowadzając do polskiej polityki bezwzględność w konkurowaniu, cynizm i całkowitą „obrotowość” – jeśli można tak powiedzieć – w realizowaniu założonych celów. Wedle tego wzorca nie można być właściwie sojusznikiem w jednym, a nie zgadzać się w czymś innym z politycznym partnerem: albo jest się razem i wtedy obowiązuje jednolita, wspólna definicja sytuacji (trzeba ją narzucić partnerowi jako „wspólną” bądź podporządkować się jemu), albo sojusz jest tylko fasadą do zajęcia lepszej pozycji i podstawienia partnerowi nogi przy nadarzającej się okazji. Oznacza to w praktyce brak *wspólnie podzielanych celów i wartości*: nawet deklarowane jako wspólne są całkiem indywidualnie traktowane. Niektórzy badacze polskiej sceny politycznej nazwali to „dyskursem monologów” i rytualnym chaosem: w ogromnej części polska debata składa się z występów, które aktorzy polityczni wykorzystują do promowania siebie lub swych partii, ale nie do tego, aby cokolwiek wspólnie⁴.

⁴ M. Czyżewski, S. Kowalski, A. Piotrkowski (red.), *Rytualny chaos. Studium dyskursu publicznego*, Kraków 1997.

7. SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE A PAŃSTWO

Sprawa aktywności społecznej i wielkości organizacji partii politycznych prowadzi nas do następnej ważnej kwestii. Chodzi mi o szerszą sprawę intensywności życia organizacyjnego w społeczeństwie, co w polskiej refleksji socjologicznej występuje na ogół pod hasłem aktywności *społeczeństwa obywatelskiego*. Wśród socjologów toczą się dyskusje na temat żywotności i intensywności działania społeczeństwa obywatelskiego. Z nielicznymi wyjątkami – do nich należą opinie Tadeusza Szawiela⁵ – badacze i analitycy uznają, że rozwój demokratycznego systemu wcale nie sprzyja intensyfikacji uczestnictwa obywateli w działalności społecznej. Jest zgoła odwrotnie, jak dowodzą niektóre przynajmniej badania, choćby takie, jak dane z Euromonitoringu, zbierane i analizowane w regularnych odstępach czasu. Jak wskazują Mirosława Marody i Jan Wilkin⁶, początek wieku przyniósł spadek uczestnictwa Polaków w działalności organizacyjnej⁷. Na rosnące kłopoty w działalności społecznej wskazują też analizy zespołu, którego prace zebrał Piotr Gliński⁸. Stoimy tu zresztą wobec kolejnego paradoksu naszego rozwoju – wszak wielu badaczy, zwłaszcza amerykańskich, interpretuje upadek komunizmu jako skutek dostatecznie efektywnego działania obywatelskiego, rozwiniętego mimo totalitarnego reżimu. „Solidarność” była tego najwyższym wykwitem, ale badania pokazują, że także w ponurych latach stanu wojennego i pomimo wojskowo-policyjnego nadzoru rozwijane były niezwykle bogate działania społeczne – to aktywne społeczeństwo obywatelskie i jego kontestacja systemu doprowadziły do upadku komunizmu⁹. Paradoks polega na tym, że powstanie wolnego państwa i swoboda w podejmowaniu wszelkiej aktywności przez obywateli wcale nie zaowocowała rozkwitem społeczeństwa obywatelskiego, a raczej jego uwiędnięciem.

Dotykamy tu zagadnienia do pewnego stopnia wspólnego dla systemu partyjnego i organizacji społecznych. Być może wspólnym mianownikiem

⁵ T. Szawiel, *Społeczne podstawy konserwatyzmu w Polsce*, „Fakt” nr 6 z 9 lutego 2005 r.

⁶ M. Marody, J. Wilkin, *Meandry instytucjonalizacji: dostosowanie Polski do Unii Europejskiej*, Kraków, 2002.

⁷ Mirosława Marody podaje, że: „odsetek Polaków, którzy nie należą do żadnego stowarzyszenia, zwiększył się z 72,3% w latach 1989–1993 do 80,8% w latach 1997–1999. Podobna tendencja wystąpiła też w innych badanych krajach postsocjalistycznych. Uczestnictwo Polaków w organizacjach należy do najniższych w Europie (mniejsze na pewno jest w Rosji).

⁸ P. Gliński, B. Lewenstein, A. Siciński, *Samoorganizacja społeczeństwa polskiego: trzeci sektor i wspólnoty lokalne w jednoczącej się Europie*, Warszawa 2004.

⁹ I. A. Słodkowska, *Społeczeństwo obywatelskie na tle historycznego przełomu. Polska 1980–1989* – praca doktorska obroniona w IS UW, promotor Jerzy Szacki, 2003.

trudności z rozwojem zarówno ugrupowań partyjnych, jak i innych stowarzyszeń społecznych, są nie tylko błędy organizatorów i inicjatorów aktywności, ale bardziej globalne przyczyny i uwarunkowania. Z całą pewnością mamy tutaj do czynienia z wyniesionymi z przeszłości nawykami – społeczną nieufnością i do partii politycznych, i do innych organizacji, ukształtowaną w latach PRL. Ale też zapewne do tych uwarunkowań należy strategia działania nowego państwa, administracji państwowej III RP wobec – by tak rzec – sektora społecznej aktywności.

Od początku lat dziewięćdziesiątych – zwłaszcza w podstawowych dla rozwoju aktywności społecznej lokalnych społecznościach – toczyć się poczęła swego rodzaju walka między kształtującymi się samorządami terytorialnymi a organizacjami społecznymi. Nowi działacze samorządowi i inicjatorzy organizacji społecznych, czyli tzw. NGO-sów często wywodzili się z różnych grup, z różnych tradycji: albo z tradycji opozycyjnej i związkowej działalności, albo też z kręgu dawnych działaczy partyjnych i innych organizacji komunistycznych (np. organizacje młodzieżowe, odgrywające istotną rolę w latach osiemdziesiątych jako zaplecze władzy). W praktyce musiało to rodzić kontrowersje i konflikty – tych uwarunkowań nie dawało się łatwo przezwyciężyć, chociaż lokalne warunki temu sprzyjały.

Jednak na te biograficzno-personalne konflikty nakładał się konflikt instytucjonalny: samorządy lokalne i organizacje pozarządowe poczęły konkurować o środki finansowe. Od narodzin polskiej demokracji kraje europejskie przeznaczały bowiem za pomocą różnych programów istotne kwoty na umocnienie podstaw demokracji. Znaczne pieniądze płynęły też ze Stanów Zjednoczonych¹⁰. Walka o te środki od początku była ważnym i budzącym obawy przedmiotem zainteresowania badaczy lokalnej demokracji, czego dowodzi cała seria prac Joanny Regulskiej¹¹. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych najwyraźniej – pomimo wielu sukcesów organizacji pozarządowych – konkurencję poczęły wygrywać urzędy, czyli lokalne samorządy. Miało to swoje natychmiastowe reperkusje w osłabieniu organizacji społecznych, ale także w ukształtowaniu się niekorzystnego układu stosunków społecznych, w których to partyjnie definiowane urzędy decydowały często o losie pozarządowych organizacji, bez względu na to, jakie przynosiły one korzyści społeczne. Powrót

¹⁰ J. Regulska, *Building Local Democracy: The Role of Western Assistance in Poland*, „Voluntas” IX, 1998, nr 1, s. 39–57.

¹¹ J. Regulska, *Local Government Reform* [w] R. F. Staar (red.), *Transition to Democracy in Poland*, Nowy Jork 1998, s. 113–132; J. Regulska, *NGO's and their Vulnerabilities during the Time of Transition: Case of Poland*; „Voluntas” X, 1999, nr 1, s. 61–71; I. Krzemiński, *In Search for a Model of Democracy In Poland* [w] A. Bron, M. Schemmann (red.), *Civil Society, Citizenship and Learning*, „Bochum Studies in International Adult Education”, Monachium 2001, s. 168–188.

do władzy postkomunistów redefiniował jeszcze bardziej jednoznacznie sytuację: dysponujące środkami urzędy wspierały bądź zlecały zadania tylko „swoim” organizacjom. To jedna z najsmutniejszych patologii lokalnych demokracji. Tutaj też widać dalekosiężne skutki oddziaływania „kultury partyjnej” PZPR.

Taka sytuacja była możliwa między innymi dlatego, że administracja rządowa wcale nie miała od początku dostatecznie spójnej, przemyślanej strategii działania wobec inicjatyw społecznych. Tak jak lekceważono oczekiwanie na uczestnictwo obywateli w reformowaniu i rządzeniu krajem przez rzeczywistą, powszechną debatę społeczną, tak też lekceważono zagadnienie stosunków państwa ze sferą samorodnej, spontanicznej działalności organizacyjnej obywateli. Dowodzi tego wspomniany konflikt między samorządami terytorialnymi a organizacjami pozarządowymi.

Państwo nie starało się dotychczas w systematyczny sposób zdefiniować w kategoriach programowych, ale też praktycznych, ustawowych relacji między sobą jako administracją i zarządcą życia wspólnego a działalnością organizacji, spontanicznie tworzonych przez obywateli. Jeśli nawet podejmowano takie próby, to głównie troszcząc się o zapewnienie administracyjnej kontroli nad sferą aktywności obywateli, czego dowodzą trzy ustawy, uchwalone przez parlament za rządów L. Millera, regulujące sferę dobrowolnej działalności społecznej. Już w pierwszych miesiącach ich funkcjonowania ujawniły się rozliczne wady ustawowe, które niezmiernie komplikują działalność zwłaszcza małych, prawdziwie spontanicznie tworzonych stowarzyszeń. Ustawy te w przyjętym kształcie i tak odbiegały od projektów, które zakładały znacznie dalej idącą kontrolę urzędników nad samym procesem tworzenia stowarzyszeń. Dyskusja i protesty „dużych”, wpływowych stowarzyszeń doprowadziły do zmian, ale i tak stopień zależności organizacji społecznych od administracji państwa znacznie wzrósł. Nic więc dziwnego, że spadło i tak niezbyt duże zainteresowanie obywateli uczestnictwem w społecznych organizacjach.

Od wielu miesięcy Polska żyje aferami – jedna za drugą sfera życia gospodarczego i społecznego okazuje się skorumpowana, tzn. poddana nieformalnym wpływom, przede wszystkim polityków i powołanych przez nich urzędników wszelkiego szczebla. Zawodzi coś, co można nazwać kontrolą społeczną władzy. Słabość oraz dość duże podporządkowanie stowarzyszeń i organizacji społecznych administracji utrudnia, rzecz jasna, efektywną kontrolę. Najsilniejszym elementem społeczeństwa obywatelskiego okazuje się prasa, i to zarówno centralna, jak i lokalna. Koniec końców niemal wszystkie istotne afery polityczno-korupcyjne zostały wykryte i opisane przez dziennikarzy głównych dzienników. Lecz prasa lokalna poczęła się borykać z coraz większymi kłopotami: lokalne władze oraz grupy partyjno-biznesowe, zwłaszcza związane z SLD, wydały

istną wojnę dziennikarzom prasy terenowej, starającym się patrzeć na ręce miejscowych notabli. Rosnącą ilość szykan oraz spraw sądowych, wytaczanych przez przedstawicieli lokalnych władz dziennikarzom, rejestruje krajowe Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich (vide www.freepress.org.pl). Samorządy lokalne w wielu miejscach w kraju usiłują podporządkować sobie, a w każdym razie istotnie ograniczyć wolność prasy, tak jak udało im się uzależnić lokalne stowarzyszenia. Mimo to prasa i media – w tym także telewizja – to najmocniejszy w tej chwili element kontroli społecznej.

8. UPARTYJNIENIE PAŃSTWA I SŁABOŚĆ WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

Sprawa kontroli społecznej władzy wiąże się z dziedzictwem PRL, sprzeniesionym do III RP, łatwo, skoro nikt nikogo nie rozliczył z poprzednich praktyk, a nowe państwo zaczęło się jakby ukradkiem i niespodzianie, wyłaniając się z rozpadającego się komunizmu. Brak symbolicznego początku ma wraz z upływem czasu – paradoksalnie – coraz bardziej dojmujące konsekwencje.

Do chwili obecnej nie udało się zrealizować jednego z prostszych programów choćby częściowego zabezpieczenia państwa i administracji państwowej przed polityczną korupcją, a mianowicie wprowadzenia i definitywnego usankcjonowania korpusu cywilnych urzędników, odpowiedzialnych za wykonywane zadania i niezależnych od politycznych fluktuacji rządowych. Chociaż dużym sukcesem było zorganizowanie Krajowej Szkoły Administracji Państwowej, kształcącej przyszłe kadry urzędnicze, to zarazem jej kilkunastoletnia działalność nie oznacza wcale zwycięstwa nad partyjnością. Wręcz odwrotnie: absolwenci szkoły, na ogół bardzo dobrze przygotowani do pełnienia odpowiedzialnych funkcji państwowych, mają kłopoty ze znalezieniem pracy albo otrzymują zupełnie inne zatrudnienie, niż powinni. Korpus cywilny urzędników państwowych właściwie nie powstał do tej pory, a kształtujące się już wyraźnie zwyczaje i normy w tym względzie zostały całkowicie zlekceważone w okresie ostatnich rządów SLD. Sposób obsadzenia wysokich, merytorycznych stanowisk rządowych był istną kpiną z reguł służby cywilnej. Stanowił swoistą promocję ludzi dawnego aparatu partyjnego, włączając w to zwłaszcza dawne służby mundurowe i peerelowskiego MSW.

Doprowadziło to w chwili obecnej – czemu sprzyjał kilkuletni okres stagnacji gospodarczej i bezrobocia – do ukształtowania się patologicznej struktury zatrudnienia w urzędach państwowych, nawet, a może szczególnie w instytucjach służebnych wobec społeczeństwa. Nazwałbym to patologią rodzinno-partyjną. Kierownicy różnego szczebla – zgodnie

z peerelowską tradycją – zatrudniają „swoich”, a więc krąg rodzinno-partyjny. Nepotyzm i promowanie ludzi ze swego partyjnokoleżeńskiego kręgu jest całkowicie nagminne – do tego stopnia, że stało się już społeczną normą. Nikt się temu nie dziwi, rzadko kiedy protestuje – wszak w sytuacji deficytu zatrudnienia nic dziwnego, że w prorodzinnej Polsce kierownik zatrudnia rodzinę i swych kolegów z partii, dzięki której uzyskał stanowisko i przez którą jest na nim chroniony.

Mamy więc do czynienia ze swoistą patologią instytucji, w dodatku niejako sankcjonowaną, przynajmniej do pewnego stopnia, społecznie! Przypomina to nieco sytuację „późnego” Peerelu, gdy o protekcję mogli się zgłaszać do sekretarzy partii całkiem nieznanymi ludziami i często ją uzyskiwali – oczywiście, z pominięciem zakładanych przez system procedur. Rzecz jasna, stanowili w przyszłości swego rodzaju „klientelę” partyjnego prominenta...

W świetle badań empirycznych jedną z najbardziej cenionych zmian w państwie jest możliwość dochodzenia swych praw przez obywateli wobec urzędów i administracji państwa¹². Podobnie, zdecydowana większość nie miała wątpliwości, że możliwość dochodzenia swych praw w państwie jest zdecydowanie większa teraz niż za czasów realnego socjalizmu. Ale już ocena rzeczywistej równości oraz dostępności prawa dla obywateli nie wypadła tak pozytywnie. Wręcz odwrotnie: ocena praktycznego działania wymiaru sprawiedliwości budzi ambiwalentne uczucia i oceny¹³. Problem wymiaru sprawiedliwości i stopień realizacji idei „państwa prawa” to jedna z kluczowych spraw w ocenie działania III RP.

Idea „państwa prawa” była jednym z naczelných haseł rządu Tadeusza Mazowieckiego, pierwszego niekomunistycznego rządu od końca lat 40. w całym regionie. Hasło to było wykorzystywane także w polemice na temat rozliczenia przeszłości – przez jednych dla zaniechania dochodzenia ustrojowych przestępstw przeszłości, przez ich krytyków – jako uzasadnienie konieczności uregulowania spraw z bolesnej historii. Zapewne to ideowe uwikłanie programu „państwa prawa” sprzyjało temu, że pierwsze rządy niedostatecznie wiele uwagi poświęciły funkcjonowaniu instytucji prawa, przede wszystkim sądownictwa, jak też – wymiaru ścigania. Nie-sprawność sądownictwa to chyba jedna z najsilniejszych barier rozwoju, a także przyczyna zahamowania wzrostu gospodarczego. Zarazem – to stan, który umożliwił rozwijanie się w nowo tworzonej ładzie instytucjonalnym państwa starych zwyczajów i peerelowskich reguł działania.

¹² Odwołuję się tu do wyników własnych badań w Mławie i Szczecinku w 1997 roku (grant KBN, nr projektu 1H01F-004-10).

¹³ I. Krzemiński, P. Śpiewak, *Druga rewolucja w małym mieście. Zmiana ustrojowa w oczach mieszkańców Mławy i Szczecinka*, Warszawa 2001.

Być może było to do pewnego stopnia nieuniknione, bowiem wraz ze zmianą ustroju zmieniły się zasadniczo *funkcje prawa*: prawo w mniejszym stopniu pozostało instrumentem regulowania przez administrację państwową stosunków między obywatelami i zarządzania, czy nawet zapewnienia im bezpieczeństwa, ile podstawowym regulatorem stosunków społecznych i ekonomicznych. Przyjmuję tu za punkt, niewymagający uzasadnienia, że kapitalistyczny rynek jest złożonym tworem, w którym prawo odgrywa zgoła decydującą rolę – nie tylko przez zapewnienie równych dla wszystkich uczestników warunków startu i aktywności gospodarczej, ale przede wszystkim jako gwarant dotrzymania umów i wypełniania zaciągniętych zobowiązań, a także – jako forum rozwiązywania konfliktów i regulowania różnych wzajemnych roszczeń między aktorami życia społeczno-gospodarczego. Dla wypełnienia tych funkcji prawo musi działać sprawnie i szybko, a tymczasem opieszałość wymiaru sprawiedliwości stworzyła zgoła warunki do rozkwitu szczególnego rodzaju przestępczości, bazującej na trudnościach z efektywnym dochodzeniem roszczeń i zobowiązań. Wraz z *migotliwością* stanowionego prawa powoduje to fatalne konsekwencje w życiu społecznym i gospodarczym. Wedle różnych badań poziom wzajemnego zaufania do ludzi i instytucji w Polsce jest jednym z najniższych w Europie¹⁴.

9. „PODZIAŁ POSTKOMUNISTYCZNY”, PORZĄDEK SPOŁECZNY I POJEDNANIE

Cały dotychczasowy wywód pokazywał, jak dalece w porządek nowych Creguł i zasad włączyły się stare układy systemowe: dawne reguły myślenia i działania, dawne związki grupowe, wreszcie dawne twory symboliczne, jak choćby głęboko zinternalizowane pojmowanie *polityki* oraz metody rządzenia państwem. Dawno temu niektórzy socjologowie pisali o tym „wklejeniu się” nienaruszonych elementów starego porządku w proces transformacji i budowania nowego ładu¹⁵. Andrzej Rychard mówił o „hybrydyzacji systemu”, czyli o powstaniu szczególnej formy ustrojowej, w której w nowej infrastrukturze zasad i reguł demokratyczno-rynkowych działają, niczym nienaruszone, stare, socjalistyczne formy instytucjonalne i psychologiczne.

¹⁴ „Niskie jest także – pisze M. Marody – zaufanie do innych, stanowiące przecież podstawę formowania kapitału społecznego. Zaledwie jedna piąta (19%) badanych przez CBOS osób uznaje, że – ogólnie rzecz biorąc – większości ludzi można ufać. Zdecydowana większość (79%) uważa, że w stosunkach z innymi ludźmi trzeba być bardzo ostrożnym”, M. Marody, J. Wilkin, *Meandry instytucjonalizmu...*, op. cit., s. 138).

¹⁵ A. Rychard, *Czy transformacja się skończyła? Powstawanie nowego Ładu w perspektywie socjologii zmiany instytucjonalnej*, Warszawa, 1996.

W podobnym kierunku idzie inna teza, prowadząca do nieco odmiennych konsekwencji, a mianowicie wspomniana już teza o *podziale postkomunistycznym* Mirosławy Grabowskiej. Teza mówi o szczególnego rodzaju „pomieszaniu” starego i nowego, ale nadaje mu formę w miarę trwałego, trudno rozwiązywalnego konfliktu między dwiema formacjami społecznymi, czyli układem postkomunistycznym i postsolidarnościowym. Konflikt i różnica polityczna wyraża tu – tak naprawdę – nierozwiązany i niepokonany na co dzień podział społeczny. Przejawia się on nie tylko i może nie tyle w odmienności myślenia, czy nawet wyznawanych i deklarowanych wartości, ile w niedającym się łatwo przekroczyć podziale grupowym, wyrażającym się różnicami symboli, do których się ludzie odwołują i których na co dzień używają we wzajemnej komunikacji; na poczuciu przynależności grupowej, środowiskowej, a wreszcie – na odrębnej sieci kontaktów towarzyskich i społecznych. Jednym słowem, kryje się za tym inna tożsamość społeczna. Sieć interakcji społecznych i przyjmowanych za oczywistość *znaczących symboli grupowych*, służących do komunikacji i porozumienia, zrozumiałych bez zbędnych wyjaśnień i uzgodnień, z całą pewnością jest odmienna dla kręgów społecznych postkomunistycznych i postsolidarnościowych. W tym sensie polityczny podział jest czymś daleko głębszym i ma swe korzenie w codziennej, psychokulturowej tkance życia społecznego.

Ale ten podział, który Grabowska nazywa *postkomunistycznym*, nie tylko utrwała różnice biografii, życiowych wyborów i karier, lecz także ma konsekwencje dla funkcjonowania porządku społecznego, bo wyznacza w sytuacjach krytycznych podstawowe identyfikacje i w pewien trwały sposób przyczynia się do kwestionowania podstawowych zasad, podstawowych wspólnych reguł i norm ładu społecznego i państwowego. Być może to jest najbardziej niepokojącą konsekwencją tego podziału w chwili obecnej. Mianowicie służyć on może do tego, aby można było politycznie kwestionować zasady, bez których akceptacji trudno sobie wyobrazić stabilną i rozwijającą się rzeczywistość demokratyczną.

Już dawno temu wydawało się, że podział na te dwie tradycje zanika, że staje się mało istotny, ale wszystkie dotychczasowe kampanie wyborcze na nowo podział ten przywoływały, używały w różny sposób i dowodziły, że jest to istotny fakt społeczny, zakorzeniony głęboko w psychologii Polaków. Obecna kampania równie silnie wydobywa na jaw ten podział, zwłaszcza że przebiega ona w szczególnym okresie, kiedy za sprawą rządów SLD pod przywództwem L. Millera doszło do wyjątkowo jawnej reprodukcji peerelowskich porządków w demokratycznej infrastrukturze III RP.

Podział postkomunistyczny prowadzi obecnie w programach populistycznych ugrupowań, takich jak Samoobrona oraz narodowokatolicki LPR, do zakwestionowania czegoś, co należy nazwać *demokratycznym con-*

*sensu*sem, czyli zbiorem niekwestionowanych wspólnych zasad, na których opiera się instytucjonalny ład demokratycznego państwa. Ten *demokratyczny consensus* nie jest trudno określić, bo składają się nań proste zasady i normy praw człowieka i obywatela jako podstawy ustrojowej. Oznacza to zagwarantowanie równych praw wszystkim obywatelom i wszystkim mniejszościom społecznym, państwo niezależne od ideologii i religii, gwarantujące przestrzeganie swobód obywatelskich. Pojawiły się jednak u nas ostatnio coraz wyraźniejsze tendencje do modyfikacji i zgoła nieakceptowania kanonu tych wartości, zakwestionowania równości praw różnych grup obywateli (prym tu wiedzie kwalifikująca się do prawnej interwencji, bezprzykładna napaść na osoby homoseksualne i zakwestionowanie ich praw obywatelskich) i swobody wypowiedzi (bardzo niepokojące ograniczenia i restrykcje, nakładane np. przez władze samorządowe na działalność artystyczną i wspomnianą prasę lokalną). Kwestionowanie prawomocności podstaw normatywnych demokratycznego państwa polskiego wspiera się na ataku na postkomunistów i odwołuje się oraz utwierdza *podział postkomunistyczny*, czyniąc postkomunistów odpowiedzialnymi za „niewłaściwy” kanon wartości fundujących wolną Polskę.

Przedstawiona tu diagnoza jest również zbudowana na świadomości tego podziału i na założeniu, które można zakwestionować. Mianowicie jest to założenie, że przebieg transformacji i wytwarzania nowego ładu był zakłócony czynnikami, które mogły oddziaływać i modyfikować proces reform w kierunku przywracania starych wzorów ustrojowych, wzorów rodem z realnego socjalizmu. Fakt nierozliczenia przeszłości i swoboda działania przedstawicieli i twórców starego porządku w nowej rzeczywistości stworzył wyjątkowo dogodną sytuację dla tego typu kontynuacji. Całe rozumowanie jest zapewne zasadne i można go bronić za pomocą dokładnych analiz socjologicznych, politologicznych czy też ekonomicznych i prawniczych. Pozostaje jednak pytanie, na które nie ma rozstrzygającej odpowiedzi w instrumentarium jakiegokolwiek nauki: czy gdyby dokonano symbolicznego i instytucjonalnego rozliczenia komunistycznej przeszłości, to wówczas w funkcjonowaniu nowego ładu wystąpiłoby mniej patologicznych symptomów, spowodowanych trwałością i kontynuacją dawnego porządku? Od razu też można zaryzykować tezę, że zwolennicy udziału postkomunistów w nowym ładzie i przeciwnicy rozliczeń z przeszłością z góry będą mieli tendencję do odpowiedzi negatywnej na to pytanie, a więc kwestionującej znaczenie rozliczenia przeszłości.

Stawia nas to wobec niezwyklego wyzwania: podział postkomunistyczny jest na dłuższą metę trwałym zagrożeniem dla stabilności demokratycznego i obywatelskiego ładu. Jest on w poważnym sensie nieprzekraczalny psychologicznie i społecznie, interakcyjnie, jeśli można tak powiedzieć i będzie nieustannie się odradzał albo na mocy doświadczenia życiowego,

albo dla prostych kalkulacji politycznych. Kryją się za nim na poziomie indywidualnych i grupowych doświadczeń głębokie przeżycia traumatyczne, by użyć freudowskiego określenia.

Tylko jeden sposób może, jeśli nie zlikwidować – bo trudno zmienić ludzkie biografie – to złagodzić skutki tego podziału i uczynić mniej istotnym we wspólnym życiu i decyzjach politycznych, decyzjach o współpracy i przyszłości społeczeństwa. Tym sposobem jest *symboliczne pojednanie* i to w imię wspólnie zadeklarowanych demokratycznych wartości. Pojednanie nie jest możliwe bez wybaczenia, a to z kolei – bez uznania swych win przez winowajców. Tylko na tej bazie wzajemnego wyznania i wybaczenia możliwe jest społeczne pogodzenie.

Dotychczasowe próby „pojednania” były podejmowane sztucznie – bez zaangażowania wszystkich, albo choćby najbardziej znaczących, aktorów społecznych, a w dodatku w sytuacji, gdy wybaczenie nie wiązało się w żaden sposób z jakąkolwiek kwalifikacją dokonanego w przeszłości zła. To, co złego i niebezpiecznego również na przyszłość niósł ze sobą stary ustrój, jakie krzywdy właściwie wyrządził – nigdy w symboliczny sposób nie zostało nazwane i wypowiedziane – przebaczenie było niejako „na kredyt”, tym bardziej że symboliczna „droga do Canossy” nigdy nie została nawet zamarkowana przez przedstawicieli komunistycznego reżimu. Wymiar pojęciowy – nazwanie rzeczy po imieniu – oraz wymiar symboliczny – wyraz poczucia winy i przeproszenia – są tu nawet ważniejsze niż wszelkie procesy i kary za dokonane realnie przestępstwa przez przedstawicieli dawnego aparatu władzy.

Rozliczenie bardziej praktyk systemu niż konkretnych ich wykonawców ma ogromne znaczenie dla możliwości realnego wybaczenia, a więc i pojednania. Paradoks historii polega na tym, że im więcej czasu upływa od momentu upadku komunistycznego reżimu, tym większego znaczenia nabiera konieczność symbolicznego przekroczenia przeszłości. Bez rozliczenia, przeproszenia i wybaczenia nie będzie możliwe pojednanie, a więc zagwarantowanie krajowi stabilnego kanonu wspólnie uznanych, normatywnych podstaw funkcjonowania demokratycznego porządku.

10. ZAMKNIĘCIE PRZESZŁOŚCI I IV RP

Znaczną część kolegów socjologów, analizując trudności transformacji i stabilizacji systemu politycznego naszej demokracji, zwracała uwagę na odziedziczone z przeszłości realnego socjalizmu nawyki myślenia i społecznych postaw. Do żelaznego repertuaru tego rodzaju „niedobrego dziedzictwa” miały należeć postawy roszczeniowe, prezentowane zwłaszcza przez organizacje związkowe. Wydaje mi się jednak, że ten rodzaj zagrożeń i dziedzictwa jest bez porównania mniej szkodliwy i ob-

ciążący rozwój zdrowego i dobrze żyjącego organizmu społecznego, niż wyszczególnione powyżej elementy przeszłości, przeniesione z PRL do nowego ładu społeczno-politycznego. Oczyszczenie z nich państwa i stosunków społecznych miało pierwotnie oznaczać hasło IV RP.

Przedstawione powyżej rozumowanie doprowadziło jednak do zarysowania zupełnie innego problemu, bez którego stabilny i zdrowy rozwój będzie utrudniony. IV Rzeczpospolita jest konieczna o tyle, o ile konieczny jest symbol nowego początku i prawdziwego przekroczenia przeszłości, również porzucenia urazów i traumatycznych wspomnień – a przynajmniej takie ich oswojenie, aby należały do minionego czasu, do przeszłości indywidualnej i zbiorowej. Nie da się zbudować przyszłości bez zamknięcia bolesnego doświadczenia przeszłości, bez wyciągnięcia z niego pozytywnych aspektów, nawet jeśli najbardziej pozytywnym doświadczeniem przeszłości realnego socjalizmu było to, że w pokojowy sposób przeszedł do historii. Systemowa słabość i choroba III RP polega na tym właśnie, że nie może się w żaden sposób pozbyć przeszłości, a sposób, w jaki to próbowano zrobić, doprowadził jedynie do nowych, niebezpiecznych frustracji i patologii we wspólnym życiu oraz zagrożenia *consensusu demokratycznych wartości*. Politycznym założeniem „Solidarności” jako ruchu społecznego i związkowej organizacji było przekonanie, że tylko oparcie się na prawdzie, ujawnianej w zbiorowej debacie i dyskusji, odsłanianej w szczerej wymianie myśli i poglądów, może być trwałą podstawą dobrego ustroju. Nierozliczenie peerelowskiej przeszłości i inwazja w nową rzeczywistość wywodzących się z niej ludzi i schematów zatarły i uczyniły mało inspirującą pamięć o „Solidarności”. Dziś widać, że warto i może należy próbować wrócić do haseł i myśli, które wtedy przepełniały ludzi, uszlachetniając ich i nadając wspólnemu życiu prawdziwie porywający sens.

Ale trwała i dobra naprawa Rzeczypospolitej nie może być tylko programem „rozliczeń”. Rozliczenia są konieczne, ale muszą służyć prawdziwemu, społecznemu pojednaniu.

ABSTRACT

Author's main direction of analysis is to find the reasons of the social disappointment of the free Poland. He also observes the attitude quite similar to the present in the years of Poland People Republic: the feeling the state is not "our", and citizens can and should act near by the state rules and law. Author these practices and negative definition of politics ties with the disadvantage of social – political participation (and this which was one of the most important expecta-

tions after “Solidarity” experience). Also, with the lack of judgment, evaluation and symbolic end of communism. The lack of de-communization and even so called lustration had had a big impact on the demoralization of the Polish politics, and author analyses the consequences of it. Especially is trying to show how the communists party “political culture” (PUPW), based on authority and on the practice of to break down any agreement, if it was against theirs actual interests, have had the impact on the political practice in free Poland. Therefore, the process of institutional evaluation of the communist past is absolutely needed. But at the end of the paper the author is coming – up to an unexpected conclusion that symbolic condemnation of the communism is not enough for revitalization of the Polish democracy. The vital aim is a real reconciliation, but it is not possible without a confession of guilt by communists and to ask pardon.